



## I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICJI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr. 3 c. 50. — W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. — Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Z obczyzny i z drogi. — Pieśń diwy (wiersz). — Rosa Thea. — Timbromania. — Przegląd literacki. — Z kraju i z zagranicy. — Opis ryciny kolorowej. — Zawiadomienie. W Dodatku: Kain. Przez Henryka Riviere. Przekład z francuzkiego (dalszy ciąg).

## Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1884, **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Odwołując się w szczególach do Prospektu oddzielnie wydanego, tu tylko donosimy, że w pierwszym półroczu udzielimy jako **Premium bezpłatne** wszystkim Prenumeratorom piękny **Oleodruk** za granicą przygotowany a mogący w oprawie stanowić ładną ozdobę każdego salonu.

O kosztach przesyłki Oleodruku i opakowania, niewielką wynoszących kwotę, później doniesiemy.

Warunki prenumeraty mieszczą się w każdym numerze pod tytułem.

## NA PRZYJACIELA DZIECI

prenumerata wynosi:

w Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

W pierwszym półroczu roku przyszłego 1884, wszyscy Prenumeratorowie otrzyma-

ją jako **Premium, piękny Oleodruk bez żadnej dodatkowej opłaty**, jedynie za zwrotem niewielkich kosztów opakowania i przesyłki pocztowej.

Szczegóły co do samego Pisma mieszczą się w Prospekcie oddzielnie wydanym.

## Z OBCYZNY I Z DROGI.

Przez L. S. W.

Posuwając się na zachód od Wisły ku Bałtykowi, ku Odrze i po za Odrę, podróżnik, słysząc nazwy miejscowości przypominające wypadki historyczne, nie może oprzeć się najsprzecznieszem uczuciom, pomiędzy którymi górują pewna duma, smutek i trwoga. Duma mimowolna budzi się na myśl, jak daleko sięgała niegdyś na Zachód ziemia i niwa słowiańska; uczucie smutku następuje wnet potem, na widok ziemienia, które zmiotło i zatarło wszystko, z wyjątkiem tylko nazw miejscowości, przekreślonych wprawdzie, ale jeszcze wyraźnie słowiańskich.

Nakoniec trwoga i obawa ściągają się do przeszłości, kto wie, czy germanizacya nie będzie co raz to potężniej posuwała się na Wschód.

W niemczeniu nazw słowiańskich Niemcy trzymali się rozmaitych metod. Dawniej było to tylko nieznaczne przekształcanie, zapewne przez sa-

mych mieszkańców niemieckich, zgodnie z wymaganiami swej wymowy dokonane, nie zaś urzędowe i radykalne, jak dzisiaj, przechrzczenie w rodzaju np. poznańskiego Gniewkova na Argenau. Dostrzegłem, że podwojenie głosek w tym najlżejszym trybie niemczenia nazw słowiańskich odegrywa pewną rolę: tak już z pocziwego Otloczy na pod Toruniem Niemcy zrobili Otlotschin niby coś od Ottona. Tak i nazwa prowincyi Pommern nie wiedzieć dlaczego ma dwa m, boć to nie innego jeno słowiańskie Po-morze, kraj nadmorski. Nietylko słowiańskie, ale polskie, gdyż dawni Pomorzanie, których resztką są Kaszubi, mówili tym samym co i my językiem. Tak i nazwy miast: Stettin to Szczecin, Colberg — Kołobrzeg, Belgrad to Białogród, Stargard — Starygród, Koşlin — Koşlin, Schlawe — Sława, Stole — Stołb (słup) i t. d. Liczne nazwy wsi są jeszcze wyraźniej słowiańskie: jest tu Golnow (Gołonowe), Plathe (Płata), Jasenitz (Jasienice), Gnoyen (Gnojno), Crwitz (Krwice), Dambeé (Dębe) i t. d.

Niemniej nazwiska wielu mieszkańców, dziś już zupełnie ziemczonych, wskazują wyraźnie pochodzenie polskie: na szyldach trafiają się w miastach nietylko z niemiecką już ortografią wypisane Jablonsky zamiast Jabłoski, Paschkovsky zamiast Paszkowski, ale nawet takie nazwiska jak Brzoza, Blacha, Jutrzenka. To ostatnie nazwisko nosi właściciel hotelu (de Prusse) w mieście Kołobrzegu, nie umiejący ani słowa po polsku. A Sieniawski w wydanych przed laty kilku „Dziejach Słowian Nadelbiańskich” przytaczając kilkanaście wyrazów słowiańskich, przechowanych w mowie ziemczonych Pomorzań: utrzymuje np. że na Pomorzu lud mówi czasem: „kleine dzece” zam. Kind (dzieci). Potwierdzić tego nie mogę, ale natomiast słyszałem w kilku miastach pomorskich powitanie polskie „dzień dobry” używane jakby



zartobliwie przez Niemców, zapewne pochodzenia słowiańskiego, którego te dwa słówka pozostały jedynym śladem.

Samo miasto Colberg-Kołobrzeg, właściwie tak nazwane, gdyż leży nie na samym wybrzeżu morskim, ale „koło brzegu, w odległości dwóch wiorst od morza, należy do dziwnie jakoś ponurych i niesympatycznych, do rzędu tych miast, w których, jak mówi Heine o Akwisgramie, „nudzą się psy na rynku”. Na lato całe życie, cały ruch i cała na jaką Kołobrzeg zdobyć się może, świetność i okazałość wystaw sklepowych, wszystko to przenosi się na wybrzeże, do przedmieścia zwanego Colbergermünde (niby Ujście Kołobrzegu), które właśnie jest miejscem kąpielowym, od lat kilku bardzo uczęszczanym. Przedmieście to rośnie i rozwija się szybko, niedawno jeszcze puste, dziś posiada 14 ulic, po większej części drzewami wysadzonych, park, trzy zakłady solankowe i kilkadziesiąt z komfortem urządzonych willi i domów z mieszkaniami na różne ceny. Morze, to ciemno-szmaragdowe, to brudno żółte, lub szafirowe, a rzadko spokojne, przyciąga swoim ożywczym powiewem i właściwym sobie szumem srebrzystych bałwanów. Mokra ta płaszczyna, w Kołobrzegu szersza i bardziej otwarta niż w Sobocie pod Gdańskiem, z daleka sprawia niekiedy wrażenie zielonego pola, okrytego namiotami żołnierskiego obozu.

Muszę jednak powiedzieć z góry, że nie radziłbym nikomu jechać na czas krótki do Kołobrzegu. Mówię *na czas krótki*, bo kto ma czas, ochotę i sporo pieniędzy, ten może pojechać do Kołobrzegu na kilka miesięcy, a w ciągu tak długiego pobytu doczeka się pewno raz i drugi pięknej pogody, kiedy i kąpiele posłużą. W ogólności bowiem pomimo wszelkich reklam i interesowanych zdań autorów podręczników i przewodników, usiłujących otumanić świat podejrzanymi cyframi meteorologii i podnoszących swój Kołobrzeg aż do rzędu stacyi klimatycznych, pomimo to z własnego i obcych doświadczenia, utrzymuję że w Kołobrzegu lato jest rzadko ciepłe i pogodne i że tylko w sierpniu bywa to niekiedy: lipiec zaś wogóle bywa chłodny i dżdżysty. Łatwo zaś to sobie wystawić, jak miłą jest rzeczą siedzieć w pokoju, najczęściej także wilgotnym o mokrych ścianach, lub przechadzać się na deszczu i ostrym wietrze, mając wszędzie wodę i widząc tylko wodę, albo wreszcie siedzieć na mokrej ławce w „boskecie” (tak nazywają się zarośla na brzegu morskim), lub z parasolem w rękę, na werendzie nadbrzeżnego zamku (Strandschloss), gdyż pomimo zachwalonego komfortu, owa werenda częściowo tylko jest pokryta dachem szklanym.

W każdym razie Kołobrzeg był w lipcu „mokrem piekłem”, jeśli wolno użyć tak osobliwszego zestawienia sprzecznych wyrazów. Dziwić się więc tylko wypada, że tegoroczny sezon znalazł jednak swego panegirystę w korespondencji Dziennika Poznańskiego, który odmalował Kołobrzeg, jakby jaki raj ziemski.

Oprócz kąpiei morskich, Kołobrzeg posiada jeszcze parę źródeł solanki, nad którymi pośpieszono wzniesić aż trzy zakłady kąpielowe, a liczne broszury i reklamy trąbią o skuteczności tych kąpiei (Soolbäder Soole solanka, widocznie od wraza sól).

Wszystkie te zakłady, urządzone porządnie i nawet wytwornie, rywalizują ze sobą, ale ta konkurencja bynajmniej nie wpływa na obniżenie cen, istotnie stonowanych, a wszędzie jednakowych. Mieszkania, jak powiedziałem, po większej części wil-

gotnych, a drogie, im bliżej morza tem droższe, tak niemal na wagę złota sprzedają Niemcy owo powietrze morskie, które jednak często zawodzi, pomimo, że lekarze wysławiają zbawienną „kąpiel w powietrzu (!) morskim” (Seeluftbad). Za jeden mały pokój trzeba zapłacić miesięcznie od 72 do 100 marek (36 do 50 rs.), a za lokal z 2 lub 3 pokojów, płaci się od 150 do 300 marek (75 do 150 rs.) na sezon.

Zdarzyło mi się nawet słyszeć, że od cudzoziemców (zwłaszcza Słowian) bierze się zwykle drożej niż od swoich.

Podatek kuracyjny (Kurtaxe) pobierany tu bywa w wysokości 5 do 20 marek od osoby (2½ do 10 rs.), a to stosownie do stanu i zamożności przybyszów, ocenionych przez komitet zarządzający kąpielami. Za te pieniądze, oprócz wolnej przechadzki, goście mogą słuchać muzyki i korzystać z czytelnicy. Muzykę, co prawda, słyszeć było rzadko — najczęściej bywały koncerty płatne. Czytelnia za to urządzona wygodnie, w obszernej sali z balkonem na morze, zaopatrzona w mnóstwo pism, między którymi było kilka polskich z Warszawy, Poznania i Lwowa.

Tylko Kraków jakoś nie ma miru, bo żadnego z pism krakowskich nie było. Nie ma też tu ani jednego francuzkiego pisma, co dziwnie nawet razi, wobec bardzo rozwiniętej znajomości języka francuzkiego wśród Niemców, którzy dziś daleko lepiej umieją po francuzku i częściej mówić tym językiem potrafią niż przed wojną 1870 r. Pisma niemieckie redagowane są wogóle bardzo starannie i w treść są zawsze bogate, szczególnie działy statystyczne i informacyjne, zapełnione są z właściwymi Niemcom skrętnością i akuracnością.

Ubiegłego lata nawet i pora ogórkowa dostarczała dosyć treści czasopismom — głównie proces tiszta-eszlarski o zabójstwo Estery Solymossy i wiele innych zbrodni sensacyjnych, których ilość zwłaszcza w Niemczech, ogromnie wzrasta w kalendarznych miesiącach letnich, a ztąd i w dziennikach niemieckich, głównie berlińskich, sporo miejsca zabierają opisy owych zbrodni. Z tego powodu nawet jakiś dowcipniś niemiecki ułożył o swojej niemieckiej stolicy następujący czterowiersz:

Schwüle Luft und ungesunde,  
Auf den Strassen tolle Hunde,  
In Journalen nichts als Mord,  
Pack' die Sachen, mach' dich fort.

Co w wolnym przekładzie polskim daje taki niepochlebny obraz Berlina:

Powietrze duszące,  
Psów wściekłych tysiące,  
W gazetach rozboje —  
Zbieraj manatki swoje!

Mnóstwo rysów, mniej lub więcej wybitnych, charakteryzuje dzisiejszy stan Niemiec. Oto np. znana drażliwość Bismarka, ścigającego wszelkie przeciwko sobie wystąpienia, przechodzi doprawdy w teroryzm, przypominający czasy Nerona, gdy, jak opowiada Tacyt, zebrani w winiarni goście oglądali się trwożliwie, słuchając wycieczek poety Lutana przeciwko okrutnemu władcy świata. W Niemczech toć przecie panują ustawy konstytucyjne i swoboda słowa — na papierze tylko jak widać, skoro niebezpiecznie jest odezwać się o wszechławnym ministrze z *przekąsem* lub *na ganą*, albo wogóle powiedzieć coś takiego, co mo-

żna nakreślić i upatrzeć nie dla wszystkich widoczny przekąs lub obraza. Oto fakt, u nas nie znany, gdyż żadne z pism naszych nie wspomniało o nim, wyjmuję go zaś z gazety wrocławskiej (Breslauer Zeitung N. 537). Doktor Rüger w d. 7 marca r. b. na zgromadzeniu jakiegoś stowarzyszenia we Wrocławiu miał mowę, w której między innymi, wyraził ubolewanie, że ks. Bismark nie raczył odpowiedzieć na jakiś adres tegoż stowarzyszenia, chociaż pośpieszył z odpowiedzią np. na adres „szczupłego kółka antysemitów i studentów, ułożony pod wpływem zbyt wielkiej ilości wychylonych kufli piwa”. W tych ostatnich słowach ks. Bismark dojrzał obrazę osobistą *dla siebie*, chociaż ścigały się do studentów, i oto w „wolnej ojczyźnie niemieckiej”, której konstytucja zabezpiecza wolność słowa, dr. Rüger wyrokiem sądowym, został skazany *na 50 marek* (25 rs.) kary pieniężnej albo *10 dni więzienia!*

O sprawie Kraszewskiego pisma niemieckie wyrażały się po większej części życzliwie dla nestora naszego piśmiennictwa, zwłaszcza wiedeńska Neue Illustrirte Zeitung, która drukowała w tłumaczeniu i z ilustracyami przekład „Pamiętników Mrocza” pod zmienionym tytułem „Unter dem Banner Sobieskis” (Pod chorągwią Sobieskiego).

Przeglądając humorystyczne pisma niemieckie, podziwiamy ubóstwo i płytkość dowcipów.

Pobicie się szewca ze stolarzem, tępe pojęcie młodego rekruta, figle uliczników lub przyklepienie się ogłoszeń do sukni i t. p. błahostki są przedmiotem całego szeregu pseudo-humorystycznych, a w rzeczywistości cikliwych obrazków. Dwuznaczniki, oparte na różnicach pisowni i form językowych, należą czasem jeszcze do udatniejszych jak np. następujący: nie ma nic dziwnego, że w Hamburgu tak zimno, skoro trzy razy dziennie przychodzi tam pociąg z Kiel (*Kühler Zug* — chłodny pociąg). Czasem Kladderadatsch palnie verba veritatis, nawet niemiłe dla swoich. Oto np. raz widzimy na szpaltach tego pisma dwóch Niemców którym wygrażają sąsiedzi ze wschodu i z zachodu i podpis: „jak się zdaje, Niemcy lubiani są tylko u nas”. Kto wie, czy to nie wielka prawda...

Humorystyczne i pocieszne bywają rozmaite ogłoszenia i reklamy, a dowcipem jaśnieje często wynalazczość handlowa lub... szwindlowa.

Tak np. pod ogłoszeniami o wyprzedazy towarów podpisani są ogólnikowo, dla większej wiarygodności, jacyś *likwidatorowie*. Jakiś hotelista ogłasza, że ma pokoje po 50 fenigów (złoty srebrem) na dobę, a prześcignął go handlarz odzieży, obiecując surdut za dwie marki (rubla), a spodnie za 80 fen. (tyleż groszy, według obecnego kursu). To już niemożliwe, chyba, że te ubiory z papieru. Tu znowu restaurator ogłasza, że zaopatrzył swój zakład w świeżą usługę *godną widzenia*. Zapewne to takie usługujące osoby, które jak to jest zwyczajem w restauracjach wielu miast niemieckich, przysiadają się do gości, bawiąc ich rozmową, a za to żądając... buteleczki wina. Co kraj to obyczaj.

Ogłoszenia obwieszczające światu, że jakaś tam pani Schultze czy Klempke powiła szczęśliwie zdrowego chłopca lub tęgą dziewczynkę, są pocieszne, ale stokroć pociesniejsze jest ogłoszenie jakiegoś restauratora, że dziś właśnie zabił wieprza...

Na zakończenie o Kołobrzegu muszę powiedzieć, że Polaków tego roku było tu mało, z wyjątkiem Poznańczyków, a Poznańczycy patrzą z góry na zwykłych śmiertelników.



Łączności więc, oczywiście, żadnej, jak to zresztą między nami na obczyźnie rzecz zwykła, gdzie jeden na drugiego spogląda z jakimś trwożliwym podejrzeniem czego tak nauczyli się Polacy, że weszło to do ich charakteru narodowego, jako cechy wybitne...

Na spacerach w parku, na pomoście morskim, pod werendą Standschlossu słycać prawie wyłącznie mowę niemiecką. Dostrzegłem że niektórzy Polacy, tylko po cichu rozmawiali z sobą po polsku, czy to wstydząc się swojej mowy, czy też sądząc, że jest wzbronioną.

Nakoniec muszę zaznaczyć, że w Kołobrzegu wszystko ma stałą oznaczoną cenę, a tak zwane „napiwki” (tryngelty) nie są w użyciu.

Co więcej, doróżkarze tutejsi, jak i wogóle w Niemczech, nie żądają nigdy wyżej taksy i odznaczają się wielkiem ugrzeczniem.

Przejechawszy granicę w Sosnowicach, zdaje się jakbyśmy długo jeszcze jechali krajem niemieckim. Na stacyach restauracje niemieckie, w wagonach brzmi przeważnie mowa niemiecka i to nie szwargot hebrajski, ale niemczyzna poprawna, gdyż i żydzi usiłują mówić poprawnie po niemiecku. Z wyjątkiem kilku, może kilkunastu rodzin starozakonnych z wyższej arystokracji, z wyjątkiem kółka inteligencji żydowskiej w Warszawie, nikt nigdy nie słyszał, ażeby żydzi pomiędzy sobą mówili po polsku; za to o uszlachetnienie swego szwargotu i zbliżenie go do poprawnej niemczyzny wszyscy bardzo dbają. I z tego językowego i z wielu innych względów, przemawiających za skłonnością żydów do oportunistyki czyli stosowania się do danych okoliczności, z wyciąganiem z nich jak największych korzyści, należy uważać ludność żydowską w kraju naszym za przednią straż niemiecką, za zaród, podstawę i ułatwienie germanizacji, jak to widzimy naprzykład w Poznańskim. Prasa nasza, milczy o tem lub upatruje wśród Izraelitów ducha obywatelskiego, którego zaledwie błyski tu i owdzie dostrzedz można przy świetle latarki Dyogenesowej, ale *ne Hercules contra plures* — większość daje do myślenia.

Śród takich ponurych spostrzeżeń i myśli, zajęła mnie, choć nie pocieszyła rozmowa dwóch obywateli wiejskich, jadących w tymże wagonie, o demoralizacji ludu wiejskiego.

Rozweseliło mnie za to, że rumiany hreczkosiej swego sąsiada tytułował często żartobliwie królem lub jego królewską mością. Gdy tak tytułowany wyszedł na stacyi z wagonu, odważyłem się zapytać jowialnego sąsiada o powody takiego zaszczytnego tytułowania.

— A bo to widzi pan dobrodziej — mówił uśmiechając się szlachcic — mój sąsiad łączy w sobie wiele naraz cech, które były niegdyś właściwe kilku królom naszym. I tak musiałeś dostrzedz, iż jest mały, jak Łokietek, no i Laskonogi, jak Władysław; oprócz tego jest kędzierzawym, jak Bolesław IV i Krzywoustym, jak ojciec tegoż. Nakoniec ma na imię Mieczysław, a nazywa się, choć wcale nie jest Niemcem, Kenig, co po polsku znaczy król.

Zatrzymawszy się przypadkowo w miejscowości pogranicznej Sosnowicach, czasem także Sosnowcem zwanej, przekonałem się, że jest to jedno z najdroższych miejsc pobytu w królestwie, może nawet droższe od Warszawy, i to nietylko dla przyjezdnych. W hotelu Poznańskim numer kosztuje rubelka, a ceny potrzeb życiowych są dlatego wysokie i dowolne, iż okolica przemysłowa i fabryczna, nie nie produkuje (!) i najpotrzebniejsze

produkta sprowadza z pobliskich Prus. Ztąd ceny wysokie, stosownie do kursu naszych pieniędzy, podnoszone nadto przez dostawców i spekulantów.

Parę słów wzmianki muszę poświęcić Częstochowie. Schludne i sympatyczne to miasto, pod względem położenia, handlu i zamożności, jedno z pierwszych w Królestwie, rośnie, zabudowuje się i upiększa z każdym rokiem. Ktoś, znający to miasto oddawna, pozna je wprawdzie zawsze, dzięki niezmiennie wytkniętemu jego kierunkowi, w prostej linii trzech alei, ale na każdym kroku musi podziwiać nowe a gustowne budynki i bogate sklepy.

Tylko w kościele i klasztorze jasnogórskim nic się nie zmieniło, a potrzeba tam podobno gruntownej restauracji. Jest jednak pewna niedogodność, która spotyka rozglądającego się po mieście przybysza, a mianowicie, gdzie tylko przystanie, przypuszczając widocznie, że jego to szukają i z obiecującym uśmiechem, a jeszcze bardziej kuszącymi obietnicami obiecuje swoje usługi... I tak co kilkadziesiąt kroków, jakby to była specjalność świętej co do miejsca, ale niekoniecznie świątobliwej Częstochowy.

26 września 1883 roku.

## PIEŚŃ DIVY.

Znika smutek, niktą żale,  
Gdy z mej piersi dźwięków fale  
Płyną w wyższy świat,  
Gdzie swobodnie duch ulata,  
A natchnienie tony splata  
W cudnych rojeń kwiat.

Duch się wznosi w upojeniu,  
Dźwięki płyną w uniesieniu  
Za poziomu kres —  
Tam, gdzie wszystko tchnie wzniosłością,  
Gdzie duch poi się błogością  
Śród zachwytu łez...

I już nie dbam gdzie, dla kogo,  
Dźwięczą tony, gdy mi błogo  
W piersi wionie czar —  
Czar zapala i natchnienia,  
Czar lubego rozrzewnienia, —  
Bożej iskry dar...

Bo choć troski, chłód i bole  
Tu, na ziemskim tym padole,  
Mrożą wszelki kwiat;  
Ja roztaczam dźwięków fale,  
By świadczyły ludziom stale,  
Że jest lepszy świat!...

Dr. Rudolf Roźniatowski.

## ROSA THEA.

OBRAZEK Z ŻYCIA

przez

Ewelinę Badowską.

I.

- Nie patrzysz pan?
- Nie ciekawym, widziałem to już parę razy.
- Ależ to zawsze wspaniałe i piękne.
- I najpiękniejsze zdudzić może.
- Choćby tem najpiękniejszym była natura lub sztuka?
- Tak pani, te najprędzej mnie nudzą.

Oryginalne to zdanie wyszło z ust pięknego młodzieńca, wygodnie siedzącego w wagonie południowej austriackiej kolei żelaznej, przejeżdżającej w tej chwili szczyt Semeryngu.

Ci czytelnicy co tam byli, lub co choćby słyszeli lub czytali o tej kolei zuchwałej a pomysłem i wykonaniem należącej do najpiękniejszych i najświetniejszych zwycięstw człowieka nad naturą, zadziwią się razem z pytającą młodą kobietą objętości młodzieńca, który jeden leniwie rozparty na poduszkach wagonu, nie stanął przy oknie, żeby podziwiać, jak piękność i cuda przyrody, tak śmiałość przedsięwzięcia w stworzeniu tego wielkiego dzieła.

Przejeżdżano bowiem w tej chwili najcudniejszego i najciekawszego miejsca tej drogi, widoki co minuta się zmieniały, to jechano po kilkopiętrowym wspaniałym wiadukcie, to ślizgano się samym brzegiem olbrzymiej skały niemal u jej szczytu. A w dolinie, rzeki, wioski, osady fabryczne i kościoły, migwały niby dziecinne zabawki maleńkie rozrzucone u stóp podróżników, którzy nagle zanurzeni w tunel ciemny, znów wyjeżdżali z niego, żeby podziwiać i niewierzyć, że ta jakby galeryjka opasująca niktą w dali górę, jest tylko co przebytą przez nich drogą.

Szneeberg (\*) i niższe góry, z ruinami feudalnych kastelów, głębokie zielone wąwozy i skaliste przepaście, to niktły, to okalały, to znów się jawiły, w miarę jak je fantastyczny bieg drogi ukazywał podróżnikom.

Fale górskiego, ożywiającego powietrza poły piersi, oczy tonęły w cudownych, uroczych widokach.

Szmer cichych uwielbień lub głośnych wykrzykników, odzywał się przy wszystkich oknach lewej strony długiego wagonu, zapełnionego przeważnie cudzoziemcami, przybyłymi do Wiednia zobaczyć „Weltausstellung” a jadącymi w tej chwili niedzielnym spacerowym pociągiem oglądać nowe dziwy wśród alpejskiej przyrody.

Jeden tylko podróżny nie stał u okna, lecz źrenice jego, nudzące się patrzeniem na wspaniałą przyrodę, patrzyły jednak ciekawie i badawczo na piękną postać młodej kobiety.

Bo też dziwną i kontrastów pełną była jej uroda. Dwudziestokilkoletnia, brunetka, o klasycznym niemal twarzy konturze, miała wyniosłe, dumne, białe czoło, na którym osiadła taka powaga i myśli głębia, że tęsknie, łagodnie z pod niego

(\*) Szneeberg — najwyższy szczyt Alp norweskich.



patrzące oczy i słodko z dobrocią uśmiechające się różowe usta, zdawały się nie do tego dumnie wzniesionego należeć czoła. Wytwornie rozwinięta, kształtna i wysmukła kibić, przy powadze i spokoju ruchów, miała znowu jakby skromność dziewczycy.

Więc też patrząc na nią, nie wiedziałeś co tej młodej kobiecie dostojność taką dało? Czy nie dotknięte jeszcze ludzkimi pragnieniami i tęsknotami serce, czy po doznanym bólu ciężkim, głębokim, wielką siłą ducha okupiony spokój, którego jednak, nie legł jej w piersi pustką głuchą, ale przy ciągłej duchowej umysłu pracy nadał temu pięknemu obliczu taki wyraz dostojny a jednak życia pełen.

Podobne myśli zajmowały może i młodzieńca, bo nie spuszczał z kobiety oczu.

Nie wiele pewnie od niej starszy, jasno-włosy, niebiesko-oki, silny, krzepki, najdobitniej określającym wyrazem charakteru urody jego, będzie wyraz: siłą, do którego kilka jednak innych jeszcze dodać trzeba. Na białem, szerokim bez bruzd czole legła szeroko nuda, a na rumianych, pełnych ustach niekryjąca się ironia. Czyby z zapalu pięknej sąsiadki? W całej zaś, wygodnie spoczywającej postawie, trochę jakby lekceważenia wszystkich i wszystkiego, a po bacznej wpatrzeniu się w to jasne, młode, piękne, otwarte oblicze, upewniałaś się niemal, że jak kobieta, nosi jakieś skarby w piersi schowane głęboko, tak znów młodzieniec przeciwnie, swoje, pewno już dawno, śmiejąc się ironicznie potracił po świecie.

Po ostatnim frazesie kobieta zamilkła.

Najprzód smutek przepłynął jej po obliczu, a potem zaraz, jakby cień litośnego, dobrego siostrzanego uśmiechu zawisł na różowych ustach i już nie spytała o nic więcej młodzieńca, który widocznie nierad z tego spoglądał ciągle na piękny profil milczącej brunetki, aż poruszył się na poduszkach, wstał po chwili i niedbale się oparłszy o ramę drugiej u okna szyby i patrząc na sąsiadkę nie na okolicę, zapytał ją.

— Prawda, że jedyną dysharmonią w tej cudownej, otaczającej panią w tej chwili przyrodzie, jestem tylko ja jeden?

— To jest, tylko słowa jego ostatnie, poprawiła go, lekko się uśmiechając z salonowym wykwinnym gestem pół ułkonu młoda kobieta, mówiąc mu jeszcze wpatrzonymi w niego w tej chwili trochę jakby filuternie ciemnymi oczami, że pyta pewnie dlatego, żeby zaprzeczenie usłyszeć.

Młody człowiek zrozumiał słowa, uśmiech i spojrzenie, cieniem jakby rumieńca zafarbowało mu się białe czoło, a w oczach błysnęło ciekawości jeszcze więcej.

— Ależ pani jesteś nawet złośliwą.

— Nawet... ileż to wad i braków to nawet poprzedzać musi.

— Wad, braków... przypuścimy, że tak myślałem — odparł ze źle ukrywanym rozdrażnieniem młody człowiek — ale może te ujemności w przekonaniu mojem, są właśnie dodatnią stroną pani dla innych.

— O tego to już nie wiem — odparła z zupełną swobodą młoda kobieta. — Znamy się tak niedawno, zaledwie kilka tygodni, a choć wiemy nasze nazwiska i położenie w świecie, choć jesteśmy rodacy i widzimy się prawie codzień, to wszystko razem wzięwszy, znaczy, jakbyśmy się nieznali zupełnie. Wiedzieliście może co pan kochasz a co nienawidzisz, czem gardzisz i jakie masz ideały?

— Dajesz mi pani bardzo logicznie uczuć, że za zuchwale roszczę sobie prawo do poznania cię, gdy pani, przyznajesz się tak skromnie, iż nieznasz mnie wcale, a więc może odpowiedź moja zapozna cię ze mną lepiej.

— Niczem nie gardzę i niczego nie nienawidzę, bo wszystkiego rozumiem przyczyny. Dodawać więc już dalej nie potrzebuję, że nie mam żadnych ideałów.

Wypowiedziawszy gorąco to zdanie, wpatrzył się hardo w ciemne źrenice kobiety, wyczekując odpowiedzi.

Kobieta nie spuściła oczu pod gorącym spojrzeniem młodzieńca, lekki uśmiech przemknął po różowych ustach a serdeczny jakiś wyraz powoli twarz jej rozjaśnił.

Nareszcie po dość długiej chwili, która strasznie długą wydała się pytającemu, odparła cichym, głęboko z piersi idącym głosem.

— O! nie mówisz szczerze, nie mówisz tego co myślisz, co zwykle czujesz. Są rzeczy, które nienawidzisz głęboko, kochasz gorąco, pragniesz serdecznie, a tylko zapierasz się ich w tej chwili.

— Ależ tylko co powiedziałaś pani, że nie znasz mnie zupełnie, a tymczasem mówisz tak stanowczo, że nienawidzę i kocham...

Czy wiedział o tem młodzieniec, że mu głos brzmiał tonami innymi, gdy mówił słowo ostatnie? Nie wiem, nie wiedziała pewno i kobieta, bo spokojnie mówiła dalej.

— Zaprzeczyłam, bo wyrzekałaś się uczuć, których żaden rozumny, wykształcony i oświecony człowiek a dotego młody jeszcze, wyrzec się nie może, uczuć ogólnie ludzkich. Nie znam jednak bliżej własnych uczuć pana, jego sympatyj, marzeń...

— Marzeń — przerwał młody człowiek — znów pani wracasz do nich. Powiedziałem, że nie mam ich wcale.

— A ja znów zaprzeczę. Bierzesz ten wyraz w niewłaściwym znaczeniu. Dlaczego marzenie ma być synonimem jakichś mrzonek mglistych, i łzawych, utopii niebywałych, fantazyi nie z tej ziemi? Czy cel do którego dążymy wytrwale, droga która do niego wiedzie, czyni któremi go zdobywamy, to nie jest marzenie każdego człowieka? Prawda, dodała po małej pauzie, że człowiek i cel, tak mogą być różne, jak różni są ludzie i ich cele a podnosząc na młodzieńca wpatrzone od chwili w dal oczy, wyrzekła spokojnie i poważnie: otóż w tym ludzi tłumie ja duchowej osobistości pana prac jego i czynów, nie znam zupełnie.

— I pewno — pospieszył odpowiedzieć młody człowiek — uważasz pani, że poznawać nie warto.

Przy ostatnich niezupełnie zręcznych słowach młodzieńca, para gwizdnęła, wagon się zakołysał, zatrząsł, stanął a konduktor donośnym głosem zawołał:

— Mürzschlag!

Czy młodzieniec był kontent, że nie usłyszał odpowiedzi a kobieta, że mu dać jej nie potrzebowała? To ostatnie przypuszczamy, bo dość spiesznie oglądając się zaczęła za resztą polskiego towarzystwa, które rozproszone po różnych wagonach, pogodną niedzielę zamierzyło spędzić wśród gór, przejechać cudowny i straszny Semeryng, napić się styryjskiego wina w góralskim szalecie i wypocząć wśród lasów i dolin alpejskich po szalonych miejskich upałach i po znużeniu jakie sprawia codziennie zwiedzanie i oglądanie choćby najpiękniejszych dzieł przemysłu i sztuki.

Po kilkunastu minutach gwaru, nawoływania i szukania się wzajemnego, zebrało się nareszcie

całe grono naszych turystów i mimo natrętnych zaprosin górali na ich wózki postanowiło iść pieszo, wybrawszy za przewodnika czternaścieletniego Styryjczyka.

Młody czarnooki chłopak, podniósł w górę z radosnym wykrzykiem strojny w zielone wstążki, kwiaty i pióra wysoki kapelusz, poprawił barwisto wyszywaną kurteczkę i stanął gotowy do drogi.

Ale gromadki małych chłopców i dziewcząt obstały naszych podróżników w koło. Jedni wołali cieniutkimi głoskami „frisch wasser! frisch wasser!” podając kryształowe kubeczki napełnione wodą; drudzy uśmiechając się wdzięcznie i z ruchem ręki co był na pół prośbą i ułkonem, podawali woniejące bukietki z alpejskich różyczek lub aksamitnych edelwajsek układanych na liściach jedliny, wołając schöne roschen! edelweis! schöne roschen!

Cała ta mała odświętnie strojna góralska rzesza i woniejące różyczki i puszyste edelweiski i wesole śpiewające dziecinne głosiki i uśmiechnięte rumiane twarzyczki i bystre roztropne, figlarne dzieci spojrzenia, przyjemnie zajmowały podróżnych.

Niejednemu jednak przyszły na myśl zabrakne i wystraszone, w szarych świtkach lub podartych koszulinach, boscie dzieciaki nasze, wychylające płowe główki i z za walących się parkanów. Niejeden z westchnieniem posłał myśl tęskną ku naszym równinom... lecz każdy uśmiech odpłacając uśmiechem sięgnął do portmonetki i kupił bukietki woniejących różyczek, żeby je ofiarować towarzyszce, a aksamitnych szarutek, żeby je zatknąć za wstążkę kapelusza na wzór w ten sposób wokoło przystrojonych górali.

Znajoma nasza z wagonu brunetka pierwsza wyciągnęła rękę po alpejskie róże, lecz sąsiad jej grzecznie ją zatrzymał, a biorąc z rąk dygającego przed nim dziewczęcia najpiękniejszy bukiet, z wytwornym gestem pełnym atencji, nie dodając do niego ani słowa ofiarował jej kwiaty.

— Ślicznie dziękuję, jakie piękne te różyczki! Pierwszy raz widzę alpejską różę, niepodobna wcale do naszych, woń nawet ma inną.

— Szczęśliwy jestem, że raz pierwszy widzianą alpejską różę, rodak pani ofiarował. Może w pamięci pani zwiąże się z nią jakie wspomnienie.

Młoda kobieta podniosła od bukietu zadziwione na młodzieńca oczy i coś już wypowiedzieć miała, lecz zamknęła otwierające się usta i po chwili dopiero, rzekła jakby do siebie patrząc znów na bukiet.

— Śliczne różyczki!

— Bo róże.

— Uważasz pan róże za najpiękniejsze kwiaty?

— Tak pani, we wszelkich odmianach, nawet od półnych głogów naszych zacząwszy, róże podziwiam i lubię najwięcej.

— Podziwiam... najwięcej... to przedtem, już i dużo, i lubię do tego, te trzy wyrazy jeden po drugim i to w ustach pana? A gdy to mówiła figlarny uśmiech kryjąc za bukietem i ciekawie spoglądając w błękitne młodzieńca oczy, była taką piękną, dobrą i serdeczną, że ten, w miejsce bronić swej sprawy zapatrzony w nią, rzekł tylko cicho: lubię, podziwiam... cóż dalej pani?

— A cóż jeszcze dalej być może? Wszak i tego wyprowadzając logicznie wnioski z poprzednich słów pana, być niepowinno. Pan nie podobno nie lubisz i niczemu się nie dziwisz, z kądzę to uwielbienie dla róży?

— Powiedziałem już pani, bo róza.

— O, to nie odpowiedź!



— Pozwól pani, że odpowiem i opowiem jej kiedy indziej — rzekł ze smutnym i poważnym wyrazem twarzy młodzieniec, a teraz czy można służyć pani ramieniem i czy wolno przez cały dzień dzisiejszy być jej towarzyszem.

— Chętnie przyjmuję ramię i towarzystwo pana, ale o jednej mej wadzie koniecznie uprzedzić go muszę. Bywam w pewnych chwilach nieznośnie gadatliwą.

— O, to rzeczywiście straszna wada, lecz tej nigdy bym się nie był domyślił i chyba to żart tylko. Od chwili jak panią poznałem żałuję ciągle, że tak skąpo wypowiadasz swe myśli, uczucia i wrażenia. Będąc w jej towarzystwie doznaję zawsze uczucia jakby smutku i żalu, czy gniewu może nawet, że wspaniale oprawna, piękna księga leżąca przedemną, której bogatej treści domyślać się łatwo, pełna może głębokich prawd i piękności, znana mi zaledwie z tytułu i kilku pierwszych stronic, w sfinksowej tajemnicy zawarta dotąd dla mnie.

— A czy tytuł, jaki jej pan dajesz nie naprzód o dziele nie mówi?

— Tym razem choć mówi wiele, nic nie mówi stanowczo, bo ma tytuł „kobieta”.

— Kobieta! — powtórzyła słuchając, a dziwnie gorzki uśmiech osiadł na jej pięknej twarzy. — Kobieta tylko.

A po chwili milczenia spojrzawszy prosto młodzieńcowi w oczy mówiła: czemu skromnego „człowiek” wyczytać nie mogłeś? Czy dlatego, że wielkie Piłatowe „ecce homo” staje ci zaraz w myśli, gdy kogo nazywasz człowiekiem, a na te wyżyny jakże wprowadzić kogo? Czy dlatego? nie, o nie! My przecież wszyscy ludzie jesteśmy lepsi czy gorsi, silni czy słabsi, szczęśliwi czy męczennicy, to wszystko ludzie, tylko jedną tych ludzi połowę, nie pytając o jej moralną i duchową istotę, zowiecie: aniołami lub szatanami, szczęściem najwyższem lub najstraszniejszą ziemi niedolą, rozkoszą lub głazem zimnym, jednym słowem kobietą, a nigdy człowiekiem, co jako wy żyje po to, żeby razem z wami cieszyć się i boleć, razem kochać i o jedno się modlić, razem cierpieć i razem pracować.

Umilkła, mileżał i młody człowiek, patrzył tylko na białe czoło, na promieniste oczy, na zmienioną twarz swej towarzyski, która machinalnym bezwiednym ruchem podała mu ramię i szła obok niego poważna, piękna i zadumana.

Po długiej chwili, gdy całe towarzystwo wesoło i gwarne znacznie ich wyprzedziło, a kobieta ciągle milczała, młodzieniec mocno tem zaambarasowany, zapytał nieśmiało.

— Więc to gadatliwością miałaś mnie pani ukarać za zuchwalstwo pożądania jej towarzystwa wyłącznie dla siebie.

Kobieta ocknęła się z zadumy, spojrzała na towarzysza, ujrzała wpatrzony w siebie szafirowy żrenice, uśmiechnęła się ze smutkiem i dobrocią i głosem miękkim i cichym odrzekła.

— Poczekaj pan chwilę, przyjdzie to z pewnością, wielkie piękności i silne a przyjemne wrażenie zwykle na mnie w ten sposób działają, że muszę się dzielić uczuciami memi i wypowiadać je głośno. Ogarniającą mnie już gadatliwość spłoszyłeś pan tylko na chwilę zagadnieniem o treść przed ludźmi zamkniętej księgi.

(D. c. n.)

## TIMBROMANIA.

ZAGORZALI ZBIERACZE MAREK POCZTOWYCH

w Paryżu.

Przez

Sewerynę Duchlińską.

Do charakterystycznych rysów dzisiejszego społeczeństwa, należy zamiłowanie w różnego rodzaju zbiorach, zamiłowanie posunięte częstokroć do fanatyzmu, niekiedy do śmieszności. Jedni gromadzą skrętnie obrazy mistrzów, tej albo owej szkoły, opłacając je już nie na tysiące lecz na krocie: drudzy zbierają książki i to w pierwszych wydaniach i starodawnej oprawie, choćby na pół stoczone robactwem: inni skupują ryciny, stare monety i medale, szkła, fajanse, porcelany i t. d. Dopóki to zamiłowanie ogarnia dzieła sztuki i przemysłu, pokazując stopniowy rozwój myśli ludzkiej, łatwo nam pojąć i wytłomaczyć, ale kiedy zbieraczom idzie wyłącznie o posiadanie przedmiotu, jakiego ktoś inny nie posiada, choćby ten przedmiot żadnej nie miał naukowej ani artystycznej wartości, tego doprawdy zrozumieć nie możemy. Z podziwieniem też patrzymy na rozpowszechnioną manię zbierania marek pocztowych, która przybrała dziś w Paryżu i innych miastach europejskich, fanatyczny charakter.

Przed laty trzydziestu, wkrótce po zaprowadzeniu ruchomych pieczętek, studenci poczęli je zdziierać z listów i tworzyć z nich kolekcje. Rodzice i nauczyciele pochwalali tę zabawę, ułatwiającą naukę geografii. Od dzieci zabawka ta przeszła do starszych i wkrótce stała się modą panującą. Do jakiego stopnia ta moda opanowała dziś umysły, poświadczyć mogą cyfry statystyczne, zebrane przez uczonego Pawła Eudel. Dajemy tu krótką treść z obszernej jego rozprawy, o tak zwanej *Timbromanii*.

Około r. 1860, ukazały się pierwsze albumy, obejmujące kolekcję marek pocztowych. Spostrzegłszy popęd w tym kierunku, zręczny przedsiębiorca Laplante, zajął się pilnie sprzedażą i wymianą owych pieczętek. Wkrótce handel jego rozwinął się w zadziwiający sposób. Dziś liczą w Paryżu stu pięćdziesięciu kupców zajmujących się głównie tym przedmiotem. Niektórzy z nich sprzedają rocznie po dwa miliony marek i do trzydziestu tysięcy przeznaczonych na nie albumów. Sklepy ich urządzone są na wzór domów bankierskich, mają przytem swoje własne dzienniki i przeglądki, swoich kronikarzy i korespondentów, nadysyłających wiadomości z najdalszych stron świata, mają niezliczonych agentów, tak w Paryżu jak i na prowincyi, mają nawet swoich historyków i statystyków, mimo że marki liczą zaledwie czterdzieści kilka lat istnienia.

Pierwsze pieczętki pocztowe wymyślono w Anglii.

Było to w roku 1837. Znakomity mąż stanu w przejeździe przez jakieś miasteczko, zatrzymał się w gospodzie i gdy czekał na konie w izbie gościnnej, spostrzegł jak sługa pocztowy, przyniósł list do szynkarki.

Ta wzięła go w rękę obejrzała pilnie kopertę.

— Ile się należy? — zapytała.

— Dwa szylingi.

— To za drogo, ja nie mam takiej sumy — odrzekła dziewczyna.

— A więc zabieram list napowrót — odparł sługa pocztowy i wyszedł z izby co żywo.

Podróżny wydobył dwa szylingi, ale dziewczyna przyjąć ich nie chciała, jakby ją list mało obchodził.

Zainteresowany mąż stanu, jął wypytywać o powód takiej obojętności, nakoniec wydobył na jaw tajemnicę.

List pochodził od brata szynkarki, ubodzy oboje ułożyli się między sobą, że na kopercie kłaść będą umówione znaki i tym sposobem zamieniać korespondencje, nie otwierając listów i zwracając je pocztom.

Tym podróżnym był sir Rowland Hill, członek parlamentu. Dotknięty żywo tem co widział na własne oczy, w kilka dni potem, podał do Izby stosowny wniosek. Jakoż niebawem, Izba oznaczyła stałą taksę jednego pensa od listu. Sir Rowland Hill, odebrał urzędowe polecenie i niezwłocznie puścił w kurs pierwsze pocztowe marki.

Dziesięć lat upłynęło, nim inne kraje poszły w ślad za Anglią. W roku 1849 dopiero, ukazały się we Francyi pieczętki z wizerunkiem rzeczypospolitej.

Turcja ostatnia w Europie przyjęła tę nowość w 1863 r.

Upowszechnienie marek, a zarazem niżenie taksy oddziaływało korzystnie na wzmocnienie węzłów rodzinnych, między ubogim ludem. List, który niegdyś był zbytkiem niedostępnym dla biednego robotnika, stał się dziś konieczną potrzebą. Dostyc powiedzieć, że w mennicy paryskiej, wybijają corocznie 12,000,000 arkuszy z tych każdy obejmuje 150 pieczętek, liczba zatem wypuszczonych w kurs co rok wynosi do 1,800 milionów.

Arthur Maury, najbieglejszy w Paryżu znawca marek, z benedyktyńską cierpliwością ułożył i wydał obszerny katalog, obejmujący w chronologicznym porządku, wszystkie, jakie się kolejno pojawiły, na obu ziemskich półkulach. W tym katalogu oznaczone są ceny, dochodzące częstokroć dwustu lub trzystu franków. Białe kruki płacone przeszło po tysiącu.

Najbogatszą kolekcją marek, posiada w Paryżu książę Galliera: nabył on dwa wielkie zbiory, od dwóch fanatycznych amatorów. Jednego z tych mianował konserwatorem, drugiego adjunktem swego muzeum, na które wydał półtora miliona. Muzeum Galliera zamknięte dotąd dla publiczności, książę postanowił otworzyć je dopiero, gdy skompletuje i ukłasyfikuje swoje zbiory.

Druga kolekcja barona Artura Rotszylda, oceniona na 200,000, składa się ze stu tomów przepysnie oprawnych. Żarliwy ten miłośnik, założył w Paryżu towarzystwo *timbrologiczne*, którego jest prezydentem. Towarzystwo to składa się z członków czynnych i honorowych, odbywa miesięczne posiedzenia, wydaje buletyny i katalogi. Celem towarzystwa, badanie pieczętek pocztowych, z poglądem na chronologię, historię, geografiją, administracją, finanse, sztuki piękne i lingwistykę. Wiele kobiet należy do towarzystwa.

Sprzedaż marek odbywa się na Polach Elizejskich: zgiełk tam i wrzawa jak na giełdzie, prze-



kupnie przeciskając się w pośród tłumów, zalecając swój towar.

— Kto chce Turków? Mam na sprzedaż Peruwiańczyki! Kto żąda przylądka Dobrej Nadziei? wykrzykują jedni.

— Kto ma Kobembiany i Gwalimale? Żądamy Stangai? wrzeszczą drudzy ochrzypłym głosem. Ciekawy to widok, istne rojowisko pszczoł w barci. Jedni depczą po nogach drugim, rozpychają się kułakami.

Niektórzy spekulanci porobili majątki na tym handlu. Jeden z nich, w chwili gdy ogłoszono jedność Włoch, zakupił hurtem wszystkie marki w osobnych dzielnicach: Państwie kościelnym, Modenie, Luce, Toskanii i Neapolu i przyszedł do ogromnych dostatków.

Dawne pieczętki sprzedają dziś po cenie bajecznej. Z pomiędzy francuzkich, pomarańczowe z r. 1849, płacą po 200 franków. Dwie połączone marki z wyspy *Reunion*, z r. 1852, na papierze błękitnym doszły do 1000 franków wartości. Najosobliwsze ze wszystkich, z wyspy św. Maurycego, istne kruki białe, sprzedawane po 1,500 franków.

Pomijamy mnóstwo innych, zatrzymamy się tylko nad hiszpańskimi, z którymi łączy się szczególny fakt historyczny. Podczas ostatniej wojny domowej między Alfonsistami a Karlistami, w roku 1873, Don Karlos opanował na jakiś czas Biskaję, Nawarrę i Katalonię: w tych prowincjach zaprowadził nowe marki z własnym popiersiem i napisem *Importo di guerra*, (podatek wojenny). Aby tem pewniejszy zapewnić sobie dochód, zakazał pod karą śmierci mieszkańcom, używać dawniejszych pieczętek. Uwiadomiony o tem Alfons XII-ty, uczynił toż samo, narzucając własne marki temże prowincjom, które jak wiadomo z rąk do rąk przechodziły! Zagrożeni z obu stron Biskajczycy i Katalonie, zaprzestali całkiem korespondencji. Niezużyte marki płacone są dziś po 250 fr.

Pod względem artystycznym wykonania, na szczególną uwagę zasługują amerykańskie marki. Ponieważ Stany Zjednoczone, często zmieniają model, niesłychana panuje w nich rozmaitość. Na wielu dostrzegamy popiersia sławnych ludzi: Waszyngtona, Jeffersona, Franklina, na innych wyrobione misternie sceny historyczne, jak wylądowanie Krzysztofa Kolumba na ziemię amerykańską, lub Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych. Sliczne to miniaturki. Rzecz dziwna! prozaiczna Ameryka, największy rozwinęła artystyzm w swoich znakach pocztowych. Inne znów przedstawiają symboliczne godła, to okręt z rozwiniętym żaglem, to lokomotywę w biegu, zwieńczoną kłębem pary.

Na jednej olbrzym Jankes, istny kolos Rodyjki, z workiem na plecach, pękiem papierów w ręku, idzie przez miasto, ogarniając nogami najwyższe gmachy.

Południowa Ameryka, przedstawia cały szereg etnograficznych okazów: to Indyjki strojne w pióra papug, to Indian w rynsztunku wojennym.

Na markach egipskich widzimy Sfinksa zadumanego u stóp piramidy, na chińskich potworne go smoka, na Japońskich budystańskie napisy i t. d.

Spekulanci korzystając z mody, puszczają w kurs mnóstwo fałszywych marek, jakie nigdy i nigdzie nie istniały. Aby uniknąć oszustwa, amatorowie udają się do biegłych specjalistów, i za ich pośrednictwem, pomnażają swe kolekcje.

Takim znawcą w Paryżu jest Artur Maury, głęboki erudyta, który pośrednicząc we wszystkich kupnach, do wielkiego przyszedł majątku.

Mania zbierania znaków pocztowych, panuje dziś we wszystkich niemal krajach. W Londynie w Brukselli, w Berlinie są specjaliści handlarze zajmujący się ich dostarczaniem. W Hamburgu, fałszerze założyli wielką fabrykę, z której okazy doskonale naśladowane myślą nieraz najbieglejszych znawców. Dziwna ta mania, tak dziś rozpowszechniona, zrodziła się naprzód wśród ekscentrycznych Anglików i ogromne przybrała tam rozmiary. Bankier jeden londyński, widząc w bratanku zagorzałego amatora, postanowił w łatwy sposób zebrać mu ogromną kolekcję. Cóż więc czyni, oto ogłasza w kolumnach Timesa, następującą odezwę:

„Młoda osoba, piękna, dwudziestoletnia brunetka, licząca 800,000 fr. posagu i 2,000,000 w perspektywie, gotowa jest zawrzeć małżeński związek z człowiekiem dowiedzionej uczciwości, choćby żadnego nie posiadał majątku. Listy przyjmowane będą w redakcyi dziennika pod adresem H. C. Milion.”

Podstęp wybornie się udał. W ciągu dwóch miesięcy bankier otrzymał 25,000 listów i ofiarował bratankowi jedną z najpiękniejszych kolekcji.

Za przykładem angielskiego bankiera, poszło kilku spekulantów paryżkich. Ci oskarżeni o oszustwo, skazani zostali na karę wyrokiem trybunału.

Niektórzy amatorowie nie poprzestając na albumach, wyklejają pieczętkami ekrany i parawany, tworzy to bardzo oryginalną mozaikę. Kupiec jeden w Paryżu, ma na sprzedaż taki parawan, złożony z pięciu skrzydeł, każde skrzydło ocenione na pięćset franków.

Prawdziwą osobliwością w tym rodzaju, jest sala w klasztorze Kartuzów w Gandawie. Zakonnicy zgromadzili do miliona marek, podobierali je stosownie do kolorów i z niesłychaną cierpliwością nalepili na ścianach w rozmaite wzory. Nad wielkim gotyckim kominem, ciągnie się napis: *Ad Majorem Dei Gloriam*, powyżej rok 1882. Na ścianach potworzono z tej szczególnej mozaiki krajobrazy chińskie, starożytne zamki z basztami, szwajcarskie szalety, psy, kwiaty, ptaki i motyle. Wszystko to razem, tworzy całość, dziwnie piękną i oryginalną.

## PRZEGLĄD LITERACKI.

### Sejm czteroletni Kalinki.

Ks. Waleryan Kalinka, znany jako sumienny i utalentowany autor: „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta” (Poznań 1858 r.) po kilku latach pracy wydał nowe dzieło dwu tomowe nie tylko ważne ze względu na samą treść, jak i na doniosłość epoki leżącej jeszcze w pomroce dziejów.

Niewchodząc w rozbiór talentu ks. Kalinki jako historyografa, który w całym blasku w najnowszym dziele jego się ukazał, niepodobna nam przemilczeć lub tylko kilku zbyć słowami pracę tak cenną i tak doniosłą jaką jest: „Sejm czteroletni”.

Poprzednia praca jego pozwalała wnosić, że dzieje „Sejmu czteroletniego” w osobie autora „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta”, znajdują historyka odpowiedniego, nie zawiódł też oczekiwania i dał nam opowieść historyczną, tchnącą przedziwnym spokojem i rzucającą jasne i czyste światło na owoczesną zawilgłą a ciemną politykę i na owe ukryte sprężyny poruszające w onym czasie maszyneryę polityczną całej Europy. W poprzednim dziele ks. Kalinka dał nam szereg portretów po mistrzowsku wykonanych, a chociaż nie zgadzamy się z tendencyjnym sposobem rehabilitacyi Stanisława Augusta Poniatowskiego, to jednak zarzucić niemożemy jakoby te portrety nie były wysokiej wartości i ściśle historyczne.

W ostatniej pracy swojej ks. Kalinka przedstawił nam nie szereg portretów osób działających w pewnej epoce, lecz obraz historyczny obejmujący prawodawczą twórczość zbiorowej politycznej duszy wcielonej w sejm.

Dzieje sejmu czteroletniego, dotąd pokryte były pomroką, która nie pozwalała wydać o nim sądu właściwego, tembardziej, że archiwa berlińskie, watykańskie, wiedeńskie i petersburskie, dotąd prawie zamknięte były dla ogółu, otwarte zaś dla tych tylko, którym zależało na tem, aby prawda w zupełności znaną nie była. Ks. Kalinka pomimo trudności jakie napotykał w zebraniu materiałów do dzieła swego, zdołał jednak cel przez się wytknięty dopiąć i dać nam dzieło wyczerpujące, źródłowo opracowane.

Sejm czteroletni pierwszym był sejmem po latach wielu, który śmiało „wolnym” nazwać można, dlatego też i owoc tego sejmu konstytucya 3 maja była dziełem wolnego narodu. Niedziw więc, że wobec tego reforma podjęta przez sejm zwróciła na siebie uwagę całej Europy, a głównie tych, którym była nie na rękę jako burząca nadzieje na przyszłość.

Sejm czteroletni usuwając błędy kardynalne rzeczypospolitej jak: elekcyjność, liberum veto, poddaństwo i t. d., nie zrywał bynajmniej z przeszłością, lecz w dawne formy wlewał nowego ducha.

Ks. Kalinka pracując nad powyższym dziełem czerpał pełną dłoń z nieznanych źródeł a mianowicie w archiwum Stanisława Augusta, będącego w posiadaniu p. Pawła Popiela, z archiwum książąt Czartoryskich, tajnych archiwów państwa w Wiedniu i Berlinie, nakoniec z archiwów Watykańskiego i biblioteki ks. ks. Oratoryanów w Rzymie.

Nadto autor miał pod ręką wiele dokumentów rosyjskich i obszerne korespondencye Szczęsnego Potockiego, Małachowskiego, Ignacego Potockiego, szczytki z kancelaryi Prymasa Poniatowskiego, niektóre papiery hetmana Rzewuskiego i biskupa Kossakowskiego. Jak z tego widzimy, materiał bardzo obfity i zawierający w sobie rzeczy zupełnie nieznanne, a nadające przez to pracy ks. Kalinki wysokie naukowe znaczenie.

Dzieło swe ks. Kalinka rozpoczyna przymierzem austro-rosyjskim i wojną turecką (1787 do 1788 r.) następnie przechodzi do aliansu polsko-rosyjskiego, obrad sejmikowych, obrad samego sejmu, wpływów postronnych na te obrady, aliansów, przymierzy konfederacyi i antikonfederacyi, uchwał i postanowień sejmowych rozbiegając wszystkie po szczególe.

Konstytucyi 3 maja poświęcając ostatni rozdział pierwszej części II tomu, rzucaniem światła



na nierząd domowy Stanisława Augusta z powodu starań jego o pożyczkę w Berlinie.

Dzieło ks. Kalinki nie jest jeszcze skończone i jak się zdaje autor nie wykończy je jeszcze tak prędko. Pomimo tego w tem co już nam dał mamy dokładny obraz całości.

Zapoznając Czytelnika z całą pogmatwaną siecią dyplomatycznych stosunków Europy, jako też z mistrzowską galerią portretów ówczesnych monarchów, mężów stanu, nie podaje jednak właściwej charakterystyki politycznego ustroju, takiej, jakiej od autora domagać się mieliśmy prawo. O naturze stronnictw, ich sile i jak się prowincje między też stronnictwa dzieliły, czem właściwie była partya Stanisława Augusta i jakie jego były zdolności przy formowaniu rządowego obowiązku, jaką podporą dla władzy królewskiej był naówczas senat, jaką polityczną siłę reprezentował, czy Stanisław August w ciągu panowania swego zdołał wyrobić w senacie tradycje rządowe i podporę dla swej królewskości i czy ten senat był wistocie przedstawicielem rozumu stanu, mogącym hamować uniesienia izby poselskiej, tego wszystkiego ks. Kalinka w pracy swej nie wyjaśnił. Dlaczego? Czyżby nie chciał stanąć w sprzeczności z chęcią rehabilitowania „familii” i samego Stanisława Augusta?

Historyk, zapatruje się na daną epokę wyłącznie jako na następstwo wytworzone szeregiem wypadków poprzednich, w dziejach bowiem nie ma nic przypadkowego i wszystko ma swe przyczyny. Statystycie politykowi nie chodzi jak historykowi o to co być musiało, lecz o to co być mogło, gdyby społeczeństwo w niektóre instytucje polityczne wlało więcej siły, lub też miało genialnych kierowników. Ks. Kalinka nie przedstawiając sytuacji jaką sejm zastał w kraju i w Europie, uwolnił się od wykazania w każdym wypadku historycznej konieczności niepozwalającej na inny sposób rozwiązania.

Tym sposobem uwagi i wnioski autora nacechowane barwą bardziej polityczną, mimo, że niezmiernie dużo posiadają wartości, jednak w czytającym nie wywołują przekonania, że to co się stało, było wyrazem prawa dziejowej konieczności. W rozwałkę i naukę, umysł Stanisława Augusta był niezmiernie bogaty, lecz charakteru nie posiadał żadnego. Pierwsze ocenić mogą tylko ludzie ukształceni, a masy oczarować się nie dadzą, pomnąc na charakter, który ostateczną sprawadził katastrofę. Stanisław August bardzo dobrym byłby może królem gdzieindziej, lecz był najgorszym dla narodu rycerskiego, pamiętającego dobrze takich, jak Stefan Batory lub Jan III.

Mimo, że opologia Stanisława Augusta świetnie jest nakreślona, mimo że ks. Kalinka z niezmierną usilnością stara się w Czytelnika wlać to przekonanie, że grabarz ten tronu swego i państwa był wielkim politykiem, statystą i bohaterem, to jednak przekonania tego prócz „familii” i jej pieczęciarzy, czyli mówiąc językiem XVI-go wieku „jurgieltników”, nikt podzielać nie będzie i nie może, tak jak i zarzutu uczynionego sejmowi czteroletniemu, że całą władzę zagarniał, krępując administrację krajową i że grono ludzi miernego wykształcenia, o najtrudniejszych i najzawilszych orzekało kwestyach, dotyczących tak wewnętrznej jak i zewnętrznej polityki.

Kończąc na tem nasze pobieżne sprawozdanie niech nam wolno będzie zwrócić uwagę na przymioty tego w każdym razie cennego dzieła.

Przedstawienie w niem subtelnej sieci intryg dyplomatycznych, jest tak wykończonym obrazem

iz niczego tam nie ma co by dodać lub ująć można. Przedstawienie isticie posagowych postaci również jest mistrzowskie.

Wydobycie na jaw zasług prymasa Poniatowskiego, Komarzewskiego, Debolego i innych, ks. Kalinka usiłuje rzucić sprawiedliwsze światło na czyny i postęпки tych ludzi, czy jednak celu dopiął to wielkie pytanie!

**Tarczyński H. B.** Czem włościanin był dawniej i czem jest teraz. Lwów 1883 r.

Najlepszymi chęciami przejęty autor, szesnastą z rzędu wydał już książeczkę, przeznaczoną dla ludu. Niniejsza jakby sądzić należało z tytułu, winnaby być i ważną i wielce pożyteczną, tak jednak nie jest.

Nędza, ucisk i wyzyskiwanie, inaczej niewola i niedola, wedle autora, stanowiły przeszłość włościan, którzy nadto żyli jak zwierzęta „przygnębieni brakiem własnej woli”, a „ogłupieni, zgłębiali utracili jakąkolwiek chęć kształcenia się”. Dziś zaś, jak twierdzi pan Tarczyński, jest inaczej: „chłop ma zupełną wolność, ma samorząd (w Galicyi) słowem jest szczęśliwym!” Pomimo tego twierdzenia w dalszym ciągu autor tak mówi „Dziś niektórzy włościanie trudnią się lichwą i łupią ludzi ubogich. Wśród młodzieży wiejskiej ujawniają się niesłychane dotąd bezwstydy i rozpusta. Zaraźliwe choroby po wsiach przedtem nieznanne, toczą ciało włościan. A pijaństwo, kradzieże, oszustwa, rozboje, morderstwa i zbrojne na domy napaście, są dziś po wsiach powszedniemi.” Czyż więc to wszystko stanowi szczęście włościan i jest lepszem od poprzedniego stanu „niewoli i niedoli?” Dziwne zaiste zapatrywanie nie dające się bynajmniej pogodzić z poprzedniemi.

W konkluzji autor powiada, aby temu złemu zaradzić, należy włościan skłaniać do oświaty „a przedewszystkiem lepiej uposażać nauczycieli” bo jak twierdzi p. T. „za tanie pieniądze psy mięso jedzą” a więc za małą płacę nie można żądać, aby nauczyciel dobrze uczył! „Bo choć i zabłądzi nauczyciel zdolniejszy, to i ten w głodzie, chłodzie i nędzy zgłupieje, zniechęci się do niedzięcznych ludzi i nie da żadnych dla oświaty korzyści.”

Wł. Kor. Zieliński.

## Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

\*\* Matejko narysował już szkic do wielkiego nowego obrazu, przedstawiającego wjazd Joanny d'Arc do Reims.

\*\* W ciągu b. sezonu, wystawiony zostanie w paryżkim Odeonie, dramat Roberta Mitchell p. n. „Kościuszko”.

\*\* Coraz więcej głów ukoronowanych zapisuje się do szeregów pisarzy i poetów. Obecnie piękna cesarzowa austriacka ogłosiła zbiór swoich poezyi złożonych przeważnie z sonetów, z których jeden nosi tytuł „Do polskiej dziewicy”. Wiadomość tę podaje „Liberta catolica”.

\*\* Obserwatorium magneto-meteorologiczne *Hohe Warte* pod Wiedniem, posiada nader bogate zasoby i przyrządy naukowe a między nimi samopiszące i samodrukujące obserwacje meteorologiczne, z których najciekawszym jest nowy me-

teograf, drukujący Hughes'a. Jest to prawdziwe arcydzieło mechaniki zbudowane w Sztokholmie, które łącznie z pomocniczymi przyrządami, kosztuje 8,000 złr. Zasadniczą część tego przyrządu stanowi sześć kólek metalowych, osadzonych na osi poziomej, a mających na obwodzie czcionki drukarskie i liczbowe. Nad temi kólkami umieszczono ciągły zwój papieru, mogący chwilami być przyciskany do obwodu, a wtedy drukuje te tylko litery i liczby, które w danej chwili zwrócone były do papieru. W różnych punktach obserwatorium i otaczającego parku, ustawiono sześć różnych termometrów, barometr i anemometr, wskazujący kierunek wiatru. Rezultaty wskazówek tych przyrządów, odbijają się na papierze za pośrednictwem prądów i wychwytów elektro-magnetycznych. Aparat ten działa w dzień i w nocy i tylko kilku małych reperacji wymaga w ciągu roku, drukując nieprzerwanie ogromne archiwum dokumentów meteorologicznych. Dotąd tylko Sztokholm i Wiedeń posiadają taki meteorograf, w ostatnich dopiero czasach zamówiono przyrząd ten do Brazylii. Oprócz tego jest na Hohe-Warte wiele innych aparatów piszących. W podziemiach obserwatorium, w dali od wstrząśnień i zmian temperatury, do których wchodzić trzeba w pantoflach i zostawiać przy drzwiach klucze żelazne i scyzoryki, znajdują się przyrządy magnetyczne, fotografujące same przy świetle lampy, zmienne zбочenia igły magnesowej. Na wieży obserwatorium umieszczony jest prosty a dowcipny mgłomierz angielski, zapisujący w każdej chwili stan zamglenia lub zachmurzenia słońca. Jest to właściwie kompas słoneczny, w którym igłę cieni dającą, zastąpiono kulą ze szkła przezrystego. W ognisku tej kuli, znajduje się walcowaty żelazny ekran, zwrócony wprost na południe. W ekran ten zakłada się codziennie nowy papier, na którym podrukowane są linie odpowiadające godzinom kompasu; słońce, obiegając pozornie około osi ziemi, wypala na papierze, w ognisku swych promieni, punkta mniej lub więcej zwęglone. Linia każdej godziny, wypalona lub nietknięta, oznacza codziennie kiedy słońce świeciło, lub też było mniej więcej zachmurzone. Praktyczną część zastosowania meteorologii, przedstawia na Hohe-Warte układ przepowiedni pogody, odbywający się codziennie na zasadzie depez telegraficznych, otrzymywany ze wszystkich obserwatoryów europejskich, a między innymi i z warszawskiego. Obserwacje barometru, termometru, siły kierunku wiatru, deszczu lub pogody, dostrzeżone o 7 rano, dochodzą do Wiednia między 9 a 12, gdzie są natychmiast układane na mappie Europy i kometowane co do prawdopodobieństw najbliższej pogody. W letnich miesiącach, od 4 po południu, przepowiednie rozsyłane są abonentom, po większej części rolnikom i sprawdzają się przeszło osmdziesiąt razy na sto.

\*\* Jeden z dzienników francuzkich podaje co było powodem, że od r. 1772 weszło w modę wyjeżdżać do wód i kąpeli, do których przedtem tylko rzeczywiście chorzy się udawali.

Pewien książę maleńkiego księstwa związku niemieckiego, nie mając o czem podróżować, wpadł na myśl ściągnięcia do siebie jak największej liczby cudzoziemców nie potrzebujących kuracji ale zabaw i rozrywki, gdyż chorzy już i tak odwiedzali znane od dawna wody w Spa. Poleciał więc znakomitemu lekarzowi, aby napisał sprawozdanie o starożytnej skuteczności tych wód. Przywróciły zdrowie Małgorzacie de Valois, pierwszej żonie Henryka IV; boskie te zdroje sławił Pli-



niesz, p. n. Fono tungorum”, gdyż za jego już czasów były one niezawodnym lekarstwem na cierpienia nerwowe i migreny pań rzymskich i t. p. Lekarskie to sprawozdanie, przełożone na kilka języków, rozrzucone zostało po wszystkich stolicach świata. Najważniejszą jednak częścią sprawozdania było zawiadomienie, iż dla przyniesienia ulgi szlachetnym chorym, uorganizowano w Spa klub angielski, redutę francuską, salę koncertową i teatralną i „bank faraona”, który następnie zamienił się na ruletę. Odtąd liczni chorzy i niby chorzy zaczęli zjeżdżać do Spa, wielkie damy europejskie zapadły nagle na najróżnorodniejsze cierpienia nerwowe — tak nakazywał dobry ton — podróż do Spa stała się niezbędną. Wielką także przynętą była gra i rozgłaszanie o nagłym wzbogaceniu się szczęśliwych graczy — słysząc o tem wielu niby szukających zdrowia, przyjeżdżało próbować szczęścia za stołem faraona.

\*\* W listopadowym zeszycie „Missyi katolickich” zamieszczone są ciekawe wiadomości o Polakach zamieszkałych w Australii, odznaczających się pracowitością i pobożnością. „Pan Bóg widocznie opiekuje się tu naszą australijską gromadką, pisze ks. Rogalski, kapłan tej osady. Liczba rodzin polskich ciągle się powiększa, w naszym parafialnym kościółku w Sewenhill, stanowią Polacy przeważną liczbę uczęszczających na nabożeństwa i odznaczają się gorącą wiarą; przed dziesięciu laty ledwie tu byli znani, albo uważani za Niemców — obecnie mają już pewne znaczenie.

Wystarczająca dawniej kaplica św. Stanisława Kostki, dziś już jest za szczupłą z powodu licznie przybywających do niej Polaków z Sevenhill, Perwortham a osobliwie z Hillriwer. Na większe święta przybywają też Polacy z dalekich stron, a wtedy już nie mogą pomieścić się w kaplicy. Katolicy innych narodowości stawiają Polaków za przykład pobożności i gorliwości religijnej — gdybyż tylko można dostać jeszcze ze dwóch kapłanów!.. Urządziliśmy sobie w Hillriver polską czytelnię, przystępną dla wszystkich, ale jeszcze mało bardzo mamy w niej książek, a bardzo nam są pożądane, szczególnie historyczne i czasopisma ludowe katolickie, oraz książki moralne, przystępne dla wszystkich. Nasza młodzież polska krzepiłaby się niemi umysłowo i religijnie, poznając swoje piękne dzieje i zachęcając do staropolskich cnót i pobożności.”

\*\* Nie ustają próby z elektrycznym oświetleniem wagonów, ale dotąd dwie trudności stoją na przeszkodzie. Albo elektryczność wytwarzaną jest za pośrednictwem maszyny dynamo-elektrycznej, wprawianej w ruch obrotem kół parowozu, zatem prąd przerywa się, gdy pociąg staje na stacjach i lampy gasną, lub też zasilane są lampy elektrycznością pochodzącą z akumulatorów, ale te dotąd są jeszcze bardzo drogie i zastosowanie ich w większych rozmiarach byłoby bardzo kosztowne. Trudności te nie zrażają jednak wynalazców, obecnie znany paryżki fizyk p. Cabath, otrzymał patent na nowo wynaleziony przez niego system oświetlenia za pomocą akumulatorów. Przyszłość pokaże czy będzie tańszym a więc i praktyczniejszym od dotychczasowych.

Mniejsze daleko zachodzą trudności w elektrycznym oświetleniu parostatków odbywających długie podróże morskie. Na nich machina parowa ciągle jest w ruchu, a połączona z nią machina elek-

tryczna, może wytwarzać bez przerwy prąd elektryczny i zasilać lampy i te też w marynarce coraz częściej znajdują zastosowanie.

\*\* Ktoby się spodziewał, że francuzka kwestya tonkińska i nam zagraża ciężką plagą. Ogólnie przewidują, że herbata, ten niezbędny obecnie artykuł codziennego pożywienia, znacznie podrożeje. Handlujący herbatą śledzą przebieg staczanych walk, jak najzagorzalsi politycy, gdyż jeźliby przyszło do wojny między Francją a Chinami, wpłynęłoby to nader niekorzystnie na zwykły dowóz herbaty na targowiska londyńskie. Już obecnie, o ile to dotyczy gatunków Kongo i Suchond, przywóz wypadł mniejszy o 10 milionów funtów nad coroczną potrzebę. Dawne zapasy podobno są już prawie wyczerpane a więc podwyżka ceny zdaje się być nieuniknioną.

## OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

### Ubrania wieczorowe.

*Suknia z vêtement.* Spódnica atlasowa z szerokim szlakiem haftowanym. Vêtement z ottoman, stanik z przodu zakończony krótkim bawetem, wycięty w ząb z przodu i z tyłu i obłożony piórami. Tren prosty podszyty pluszem, kokardy ze wstążki ottoman.

*Suknia ubrana koronką.* Spódnica z gładkiej materii ogarniowana trzema szerokimi wolantami z prawdziwej koronki (Points), tren z adamaszku osyty z brzegów podłużnych koronką. Stanik z okrągłym wykrojem, z dodaną gładką, bawetową kamizelką, także suto garniowany koronką.

## Odpowiedzi z Pracowni Ubiorów Damskich TYGODNIKA.

*Pani M. Hub. w Sokółoweczce.* Żądania załatwiemy, przysłać prosimy pod adresem redakcyi, a jeśli suknia ma być zrobioną, to potrzebny stanczek na miarę.

*Pani Maryi M. w Modryńcu.* 50 rs. na suknię odebrano, na termin naznaczony będzie na miejscu.

*Pani P. w Steplewie.* Trzy miesiące już jak wysłaliśmy monogramy, prosimy o łaskawą odpowiedź czy je odebrano.

*Pannie Jadwidze J. w Zarożanach.* Sprawunki wyszły w końcu tego miesiąca.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

*Pani M. M. w Jurowszczyźnie.* Życzenie spełnione zostanie i od nowego roku dodatek wychodzić będzie w formie książkowej. O zmianie tej w prospekcie nie zrobiliśmy wzmianki, gdyż rzecz ta jest tak drobną, iż o niej rozpisywać się nie uznaliśmy za właściwe. Za pamięć jednak o Tygodniku wdzięczni jesteśmy niewymownie.

## Zawiadomienia.

# ZORZA

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO,

wychodzi rok ośmnasty.

Pomieszcza: prace treści Religijno-moralnej; Powiastki i opowiadania zajmujące i pouczające; Wiadomości z Nauk Przyrodzonych i Społecznych; Opisy miejscowości krajowych i bliżej nas obchodzących zagranicznych; Opowiadania z Dziejów Polskich; Krótkie Poezye, Listy z kraju; ciągle ważniejsze Wydarzenia i Nowiny w świecie i u nas; Rozmaitości. W każdym numerze po dwie Ryciny. Obok tego

## PORADNIK

Dla Gospodyń i Mniejszych Posiadaczy Rolnych wychodzi ciągle przy „Zorzy”, jako Dodatek bezpłatny. Mieszczą się w nim: Rzeczy dotyczące Samorządu Gminnego; Wiadomości i Porady pożyteczne z Gospodarstwa domowego, rolnego, ogrodniczego, oraz dotyczące Hodowli inwentarza, Drobiu, Pszczół i urządzania Pasiiek; Ceny zboża i Ogłoszenia.

Cena Zorzy wraz z Poradnikiem wynosi:

W Warszawie kwartalnie kop. 75, półrocznie rs. 1 kop. 50, rocznie rs. 3.

Pocztą po za Warszawą kwartalnie rs. 1, półrocznie rs. 2, rocznie rs. 4.

Do Austrii rocznie 5 reńskich.

Do Prus rocznie 8 marek.

Redakcja Nr. 16 ulica Nowogrodzka, w Warszawie.

Adres: Wydawca Józef Grajert.

Na Gwiazdkę i noworoczne podarunki dla uczącej się dziatwy, polecamy WIZERUNKI KRÓLÓW POLSKICH podług rysunków Tytusa Maleszewskiego, z krótkim tekstem w ozdobnej oprawie. Cena egzemplarza rs. 2 kop. 50. Za przysłaniem kwoty tej do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci ładną tę książeczkę wysyłamy bez żadnej dopłaty za pocztę i opakowanie.

Wyszedł z druku i jest do nabycia w księgarniach zeszyt I i II z edycyi drugiej dzieła p. t.

## NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się języka niemieckiego w 3 miesiącach bez nauczyciela przez P. Reussnera. Cena zeszytu I kop. 60, zeszytu II kop. 80.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, tudzież u autora przy ulicy Chmielnej Numer 6 w Warszawie.

Adres: HELENA DĄBROWSKA, utrzymująca Bióro informacyjno-nauczycielskie, Krakowskie-Przedmieście N. 43 w Warszawie. Imię HELENA należy zawsze dopisywać

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.



## K A I N.

Przez

Henryka Rivière.

Przekład z francuzkiego.

### CZEŚĆ PIERWSZA.

(Dalszy ciąg.)

Gdy skończył, wszyscy zwrócili oczy na Jerzego, zrozumiał że oczekują na jego przemowę i postąpił parę kroków, lecz była to próba przewyższająca jego siły. Zdawało mu się że widzi jak wieko trumny spada nagle, jak Raul z niej wychodzi, i stając przed nim z twarzą okropnie zmienioną, z wyrazem strasznej boleści i gorzkiego sarkazmu, patrzy groźnie na niego. Wybąkał parę słów, zasłonił twarz rękami, i nogi zachwiały się pod nim. Obecni uszanowali tę boleść tak silną, tak głęboką, tak skupioną w sobie że nie mogła jednym słowem, jednym krzykiem objawić się widocznie. Gubernator sam podtrzymywał Jerzego, dopóki nie odzyskał sił i przytomności, a kilku oficerów odprowadziło go do szalupy.

Jerzy odetchnął swobodniej gdy wszedł na pokład i znalazł się w swym mieszkaniu, miał nadzieję że teraz już będzie panem swych myśli i czynności. Omylił się. Najdalej w godzinę, oznajmiono mu że deputacya oficerów załogi chce się z nim widzieć. Musiał ją przyjąć. Najstarszy z oficerów wynurzywszy mu w swoim i w swych kolegów imieniu, współczucie, z powodu bolesnej straty, jaką poniósł przez śmierć Raula, zaprosił go, wraz z całym jego sztabem, na wielki obiad, wydawany na cześć fregaty *Thétis*, tegoż jeszcze dnia wieczorem. Usprawiedliwił ten zbyt niemiły pośpiech tem że kilku oficerów nazajutrz rano opuszcza Gwadelupę. Jerzy uważał iż nie może odmówić, tem więcej że to zaproszenie pochlebiało jego dumie.

Obiad, na którym Jerzy zajmował pierwsze miejsce, odbył się w kilka godzin później, a więc tak prędko po pogrzebie że z początku dawał się czuć jakiś przymus między biesiadnikami. Ale w czasach wojennych, wojskowi zbyt często narażają się na utratę życia, aby wypadek tak zwyczajny jak śmierć jednego z nich, mógł zasmucić ich na długo. W krótko rozgrzało ich i rozruszało wino, nawet Jerzy rozweselił się prawie. Nie szczędzono mu pochwał, wystawiano zimną krew i śmiałość której dał dowody przypuszczając szturm do fortu; podziwiano tak śpieszne jego zdobycie, bo rzadko się zdarza aby fregata o własnych tylko siłach, zdołała wziąć przewagę nad fortem. Przy wetach, gdy rozmowa była już bardzo ożywiona, najstarszy stopniem oficer podniósł się i prosił o milczenie.

— Panowie rzekł, przyszedł czas na toasty. Piję zdrowie zdobywcy fortu Świętej Trójcy!

Spełniono zdrowie z głośniami okrzykami, a Jerzy dziękował za nie z radością w sercu, z udaną skromnością.

— Na cześć przyszłych zwycięstw nowego komendanta fregaty *Thétis!* zawołał jeden z oficerów, podnosząc kielich.

Przyjęto zdrowie z jednogłośnym okrzykiem, trącając się kieliszkami.

Skoro uciszczono się trochę, doktor powstał i rzekł: Panowie, jest jeszcze toast, który każdemu z was, równie jak mnie nasuwa się na usta, ale do wzniesienia którego komendant Jerzy ma największe prawo. Wnoszę, abyśmy spełnili kielichy z życzeniem, aby wspomnienie komendanta Raula nie zatarło się nigdy w naszej pamięci.

Nastąpiło głucho milczenie, i wszystkie oczy zwróciły się na Jerzego, który zbłądł przeczuwając już co doktor powie. Powstał jednak i rzekł: „Panowie, niechaj wspomnienie komendanta Raula nie zatre się nigdy!

Wychylił kielich do ostatniej kropli, ale gdy go odjął od ust ręka jego tak drżała, że wysunął mu się z niej i stłukł na kawałki.

— Nie potrzebnie wносиł ten toast, rzekł półgłosem jeden z oficerów do doktora.

Głos Jerzego przybrał dźwięk tak dziwny, a twarz tak sposępniała, że biesiadnicy zdziwieni zamilkli na chwilę. Wasołość już nie wróciła, i wszyscy rozeszli się wkrótce.

Gdy Jerzy znalazł się znów sam w swoim pokoju, odpiął szpadę, ale już nową, którą kupił rano, i powiesił ją na ścianie, a jednocześnie wyszeptał przez zaciśnięte zęby:

— Niezatarłe wspomnienie Raula! o! ja potrafię go zatrzeć, zwyciężyć!

### CZEŚĆ DRUGA.

I.

W kilka miesięcy później, komendant Jerzy pozyskał już głośną sławę. Gubernator dotrzymał mu słowa; został mianowany kapitanem fregaty, i już na mocy tej nominacji dowodził fregatą *Thétis*. Wszędzie mówiono tylko o jego szczęściu i zachwalej odwadze. Zdawało się że dla niego, wypłynąć z portu i przesunąć się wśród nieprzyjacielskiej floty w dzień mglisty lub podczas burzy, było czemś bardzo łatwym i zwyczajnym. Jednak pomimo tak zadziwiającego powodzenia, budził w swych podwładnych więcej obawy i uszanowania niż przywiązania. Lecz za to w czasie walki wywierał na nich jakiś nieprzeparty urok, twarz jego jaśniała jakąś złowrogą pięknością; czoło i brwi marszyły się groźnie, rozdęte nozdrza zdawały się z upodobaniem wciągać zapach prochu, oczy ciskały błyskawice. Obojętny dopóki trwała kanonada, szedł pierwszy z siekierą w ręku gdy trzeba było wdzierać się na nieprzyjacielski statek, a za nim dopiero pędzili jego żołnierze. Stanąwszy już na pokładzie, szedł prosto przed siebie, uderzając z jakąś dziką radością każdego co mu stanął na drodze, i nie zatrzymując się dopóki na statku nieprzyjacielskim nie spuszczonego flagi. Nie otrzymał nigdy najłżejszej nawet rany, jakby osłonięty jakimś niewidzialnym puklerzem, i wkrótce znalazł go rzeczywiście, w przestrachu jakim widok jego przejmował przeciwników. Twarz jego błada i nacechowana nieubłaganą srogością, wywierała na nich taki skutek jakby spojrzenie Gorgony. I ciosy ich były słabe, niepewne, a wielu

spotkawszy się z nim niespodzianie, rzucali broń prosząc o łaskę. Ale po bitwie i w codziennem życiu, żaden z majtków nie śmiał patrzeć na niego inaczej jak ukradkiem, i to z uczuciem jakiejś zaboronnej trwogi, bo twarz jego ponura i zimna przejmowała ich obawą. Jerzy nie przemówił nigdy słowa do nikogo, tak dalece że nawet rozkazy wydawał na piśmie. Godzinami przechadzał się z założonymi rękami, lub patrzył na morze wsparty na parapecie. W nocy, majtkowie pozostający na służbie, opowiadali sobie po cichu dziwne rzeczy. Sternicy, naprzykład, utrzymywali, że widzieli go już nie raz wychodzącego ze swego mieszkania, w kczuli, z wyciągniętymi przed siebie rękami, z szeroko otwartymi i osłupiałymi oczyma, z twarzą strasznie zmienioną. Doszedłszy do nich zatrzymywał się, pocierał dłonią czoło, o puszczał ręce, pochylał się nad busolą, a następnie wracał do siebie. Mówiono jeszcze że widok najmniejszego nawet lusterka przejmował go dreszczem, a wielkie zwierciadło znajdujące się w jego pokoju kazał zasłonić płótnem. Pewnego dnia rano, gdy spał jeszcze, służący zdjął płótno chcąc oczyścić lustro, Jerzy przebudził się tymczasem, a spostrzegłszy go przy tej robocie, kazał natychmiast przykryć zwierciadło, głosem tak groźnym, że biedny człowiek drżący z przerażenia, zaledwie zdołał spełnić jego rozkaz. Majtkowie znajdujący się już dawno na fregacie, mówili że był takim dopiero od śmierci komendanta Raula, swego ukochanego przyjaciela, lecz takich było zaledwie kilku, gdyż prawie cała osada *Thétis* została zmienioną pod różnemi pozorami. Co do oficerów nie było już ani jednego z biorących udział w wyprawie do wyspy Świętej Trójcy. Bądź co bądź, wszyscy na fregacie podzielali przekonanie, że to wspomnienie zmarłego przyjaciela dręczyło tak komendanta Jerzego.

Nie było to bezzasadne przypuszczenie. Od obiadu który oficerowie w Gwadelupie wydali dla niego, wspomnienie Raula prześladowało ciągle Jerzego. Jeżeli dwie osoby połączone sercem i myślą, żyją obok siebie przez długie lata, dzieląc swe smutki, niebezpieczeństwa i radości, musi to pozostać w ich pamięci niezatarłe ślady. Zdawało się Jerzemu że widzi wszędzie Raula. Przy obiedzie dostrzegał go na zwykłym jego miejscu; przechadzając się, szukał go mimowolnie obok siebie, lub odzywał się do niego; wśród bitwy oglądał się za nim lub sądził że słyszy głos jego. Raul przedstawiał mu się to z twarzą pełną słodyczy, marzącą i smętną jaką miał za życia, to z wyrazem groźnym i szyderczym jaki przybrała po śmierci; ta ostatnia ukazywała mu się najczęściej w nocy. Dręczyły go we śnie straszne, podobne tego który miał wieczorem po zdobyciu fortu. Wtenczas pod wpływem nieprzewycięzonego strachu, zrywał się przez sen z łóżka i wybiegał ze swego pokoju, i dopiero stanąwszy na pokładzie przebudzał się, odzyskiwał przytomność i wracał do siebie. Prócz tego zdawało mu się że to nieszczęsne podobieństwo, o którym Raul pisał w swym testamencie, staje się codziennie wybitniejszym. Dziwił się że tak być mogło; nienawdził Raula całą siłą strachu napełniającego mu duszę, i miał nadzieję że ta nienawiść dopomoże mu zatrzeć zupełnie ślady podobieństwa, powstałego jedynie z łączącego ich tak długo stosunku przyjaźni. Inaczej się stało. Jeżeli spojrzeć przypadkiem w lustro; w chwili gdy w największym uniesieniu



gniewu myślał o Raulu, dostrzegł wybitniejsze jeszcze podobieństwo swej twarzy — w tej chwili srogiej i skurczonej, pod wpływem uczuć miotających jego sercem — z twarzą swego niegdyś przyjaciela. Jego wyobrażenia upodobniała po części własne jego rysy, z rysami budzącymi w nim postrach.

Jerzy posiadał serce ze spiżu i żelazną wolę. Zrozumiał wobec tych objawów wewnętrznego niepokoju i strachu, że jeżeli nie będzie się starał oddziaływać przeciwko nim, mogą w końcu doprowadzić go do pomieszenia zmysłów. Według niego, to przesładujące go ciągle wspomnienie Raula, było tylko wynikiem chorobliwego usposobienia wyobraźni, nad którym postanowił zapanować, nie zwlekając już ani chwili. Nie chcąc mieć obok siebie świadków swej dawniejszej bezsilności, zmienił stopniowo wszystkich oficerów na swej fregacie. Głos jego przypominał głos Raula, postanowił nic prawie nie mówić. Dotąd nosił, tak jak on, długie włosy, kazał je obciąć bardzo krótko. Spozstrzegał się często że naśladuje ruchy Raula i jego sposób wysłowienia, starał się przypomnieć sobie te wszystkie ruchy i wyrażenia, aby następnie unikać ich starannie. Co więcej, umyślił wytworzyć sobie nowe poruszenia i nowy sposób wysłowienia, należący już wyłącznie do niego. Zabezpieczywszy się w ten sposób, postanowił czekać rok cały na sprawdzenie skutków swych usiłowań. Z początku, ten przymus na który skazał się dobrowolnie, wydał mu się prawie niepodobnym do zniesienia, jego członki i mięśnie nie mogły zrzucić z siebie jarzma długotrwałego nawyknięcia, i przyswoić sobie narzucaną im przez niego postawę i poruszenia. W ruchach, w wyrazie twarzy, nie było żadnej spójności. Zwyciężył w końcu, zmusił swe ciało do posłuszeństwa, lecz było to bierne posłuszeństwo niewolnika; a przymus moralny był jeszcze przykrzejszym i cięższym do zniesienia. Chcąc zatrzeć w swym umyśle wspomnienie Raula, musiałby wymazać z swego życia, dziesięć jego lat ostatnich, przeżytych obok niego. Myśl ma w swych obrotach pewne podobieństwo do przypływu i odpływu morza: zatrzymuje się krótko w teraźniejszości, ale cofa się chętnie w przeszłość lub wybiega w przyszłość. Jerzy zabronił jej sięgać w przeszłość lecz uczuł wkrótce że pozbawiona tego niezbędnego spoczynku, znużona wysnuwaniem coraz nowych projektów i marzeń, myśl jego traciła swój polot i jasność. Usiłował zająć ją i unieruchomić, za pomocą długiego i męczącego czytania, lub czysto mechanicznego rachunku. Jednak w nocy wyzwały się myśli z pod doboru jego woli i rozwijają skrzydła. Bujały czas jakiś w dalekiej przeszłości, wywołując miłe i wdzięczne wspomnienia, a potem nagle, odzwierciedlały straszliwy obraz śmierci Raula, i wteczas okropne, przerażające marzenia dręczyły uspięnego. Jerzy postanowił zwyciężyć myśl swą we śnie, jak ją zwyciężył na jawie; kazał służącemu aby czuwał przy nim w nocy, i budził go skoro tylko zobaczy że pot występuje na jego czoło, oddech staje się ciężkim, lub też że zaczyna się rzucać we śnie. W takim razie wstawał, zarzucał płaszcz na siebie, i wychodząc na pokład przechadzał się na nim przynajmniej godzinę. Wracał dopiero czując się bardzo zmęczonym. Takie życie musiałoby odebrać siły i zniweczyć zdrowie, gdyby, od czasu do czasu, bitwy i burze nie przynosiły mu kilku godzin wytchnienia. Wteczas nie obawiał się być Raulem, stawał się samym sobą, i czuł że krew krąży mu szybko w żyłach. Doznawał rozkosznego uczucia stojąc na pokładzie wśród burzy, z odkrytą głową; upajał go zapach prochu, szezęk oręża, huk armat. Odyskiwał poczucie swej siły tej walce z żywiołami, których wściekłości potra-

fił uniknąć, lub w bitwach z ludźmi z których wychodził zawsze zwycięzko. Nabierał w nich odwagi i energii do codziennej walki ze swym nieszczęsnym losem, a raczej z sumieniem.

Najstraszniejszą z tych walk przeżył w rocznicę śmierci Raula. Przewidywał to zresztą, czuł że członki i wola wypowiadają mu pośuszenie i że nie zdoła ich ujarzmić. Zrozumiał że musi poddać się konieczności; położył się na sofce, skrzyżował ręce na piersiach, zamknął oczy i leżał tak nieruchomy, jakby martwy. Wteczas wszystkie najdrobniejsze nawet wypadki tego nieszczęsnego dnia, wszystkie godziny jego, zaczęły się przesuwać w jego myśli z nieubłaganą wiernością. Nie stawiając już żadnego oporu, patrzył na ten straszny rozwijający się przed nim dramat, jakby nie odgrywał w nim pierwszorzędnej roli. Tym sposobem zobaczył znów *Thétis* stojącą w przystani, w pobliżu fortu; odpływał jednocześnie z Raulem na rekonesans; słyszał znów głuchy łoskot jego ciała uderzającego o drzewa i upadającego na dno przepaści, aż po ukończeniu bitwy i zdobyciu fortu, patrzył na martwe zwłoki przyjaciela. W tej chwili rysy Raula przedstawiły mu się z przerażającą dokładnością; widział go tak wyraźnie, tak, można powiedzieć, dotykalnie, jakby stał przed nim rzeczywiście. Spozstrzegł nagle, że mięśnie jego twarzy, pomimo że je zmuszał do nieruchomości, poruszały się, zmieniały swe zwykłe położenie i ściągały w jedną stronę. Przeczł natychmiast co się stało, zrozumiał że w skutek nader silnego naprężenia wyobraźni, twarz jego stawała się odbiciem twarzy Raula. Opanowało go na chwilę pragnienie przekonania się o tem, i chciał spojrzeć w lustro, ale potrafił je przewyciężyć, a nie dość na tem, postanowił wyrugować ze swych rysów to straszne podobieństwo, to układając je gwałtem jakby do wybuchu śmiechu, to nadając wyraz poważny lub groźny. Postawił na swoim, ale zarazem usiłowania te sprowadziły następstwa których nie przewidział. Twarz jego przebiegały drgania nie dające się powstrzymać; czuł w niej coś podobnego do szczypania, była bardzo rozpalona, gdy zresztą całe ciało przechodziły zimne dreszcze. Jerzy śledził te objawy z pewną radością, gdyż widział w nich zapowiedź choroby czysto fizycznej, łatwiejszej do zwalczenia niż zaburzenia mózgowe. Mijały po pewnym przeciagu czasu, zastąpione gęstymi kroplami potu i zupełną bezsilnością.

Po przebyciu tej ciężkiej próby, wrócił do dawnego trybu życia, ale oczekiwał z gorączkową niecierpliwością końca zakreślonego sobie dobrowolnie, rocznego terminu. Powątpiewając o pomyslnym skutku swych usiłowań, pragnął dowiedzieć się prawdy. Nadszedł w końcu ten dzień tak pożądany. Jerzy wrócił właśnie z wycieczki na morze, i *Thétis* zarzuciła kotwicę w przystani Saint-Domingo. Zdobycie przez niego, wieżgu tej wycieczki, okręta, wyprzedziły go tam o kilka dni, i urządzono mu okazałe przyjęcie. Zaledwie fregata zarzuciła kotwicę, przybył do niego adjutant gubernatora z prośbą aby udał się na ląd. Przyjął go tam gubernator otoczony znakomitościami wyspy, i podziękowawszy za usługi oddane Francji, ofiarował kosztowną szpadę honorową. Przez cały dzień trwały urzędzone dla uczczenia go zabawy, gubernator oprowadzał go po ulicach miasta, gdzie ludność zbiegająca się tłumnie dla zobaczenia Jerzego, witała go głośnie mi okrzykami. Wrócił na pokład z sercem przepętnionem dumą lecz zarazem i trwogą; miał jednak nadzieję że podobieństwo istniejące dawniej między nim a Raulem nie stało się wybitniejszym, i że przekona-

się wkrótce, iż obawy dręczące go tak długo, były tylko urojeniem chorobliwej jego wyobraźni. Czekając jeszcze nocy, chcąc w zupełnej samotności dokonać tak ważnego dla siebie doświadczenia, i chodząc po pokoju, spoglądał często na wielkie zwierzę zasłonięte dotąd płótnem.

Przyniesiono mu listy, i dzienniki nadeszłe przed jego przybyciem do Saint-Domingo, po które posłano zanim powrócił na pokład. Były to listy od kolegów wińszujących mu tak licznych i świetnych zwycięstw, od gubernatora Gwadelupy z obietnicą awansu, i od admirała dowodzącego statkami krążącymi koło Antylów. Jerzy przeczytał je, a następnie wziął w rękę paczkę z dziennikami, i zadrzał sam nie wiedząc czemu, zobaczywszy pod nią jeszcze jeden list. Adres był skreślony trochę drżącą ręką, pismem dość dużem i wściągłem, koperta zapieczętowana czarnym lakiem, a znajdujący się na niej stempel pocztowy, okazywał że list przyszedł z Francji. Jerzy odgadł że to list od ojca Raula, i dopiero po kilku minutach wahania odważył się otworzyć go i przeczytał co następuje:

„Panie, już od miesiąca pragnę pisać do niego, a zaledwie dziś znalazłem potrzebną do tego odwagę. Widać że boleść nie zabija, gdyż w przeciwnym razie wiadomość o śmierci mojego biednego Raula, byłaby mnie pozbawiła życia. Nie wiem zresztą czy dni życia mojego są policzone, ale mam jedno jeszcze pragnienie które pan możesz spełnić; błagam go o to składając ręce. Chciałbym wiedzieć szczegóły śmierci mego drogiego syna. Mówił mi często o panu jak o swym przyjacielu, jak o swym bracie, i zapewnił że cię zobowiązał abys w razie jego śmierci, opisał mi wszystkie jej szczegóły. Oto właśnie zanoszę dziś prośbę do pana, w imię twej dla niego przyjaźni. Miej pan litość nad nieszczęśliwym ojcem, żądającym od ciebie tej największej już dla niego pociechy, i bądź pewnym jego wdzięczności, jedynego uczucia jakie może jeszcze znaleźć przystęp do jego serca.

— O! nie! nie! zawołał Jerzy wstrząsając się całym, nie otrzyma odemnie tych szczegółów, tego opisu śmierci syna!.. szepnął ponuro, a po chwili dodał: Nadeszła stanowcza chwila!.. niestety! niestety! zdaję mi się że naderemnie walczyłem rok cały.

Oderwał prędko i rzucił na ziemię płótno zakrywa ją zwierciadło, i pochylił się chciwie aby zobaczyć w niem swą postać: W pierwszej chwili, błysk radości rozjaśnił jego rysy; od roku już twarz Raula stała mu ciągle przed oczyma, lecz widział ją zawsze bladą i otoczoną długimi lekko wijącymi się włosami; patrząc teraz na swoją, nie dostrzegł żadnego podobieństwa. Miał włosy krótko strzyżone, a cerę pociemniałą od słońca i wiatru morskiego. Lecz ta radość znikła skoro przypatrzył się sobie lepiej. W skutek ciągłego naprężenia woli, na czole jego, między brwiami, wyźłobiła się prostopadła zmarszczka, takąż sama jaka zarysowała się na czole Raula przez częste zamyslanie się i skłonność do marzeń. Oczy jasno niebieskie przybrały teraz ciemniejszą barwę, a jakkolwiek nie były smętne jak oczy Raula, wyrażały przeciw zwykłe ponury smutek. Jerzy uśmiechnął się gorzko — wtedy zdawało mu się że widzi w lustrze ów rozpaczliwy uśmiech, jaki zastygł na martwych ustach Raula.

— O! zawołał cofając się o parę kroków, wiem już jaki los mnie czeka.

Ale nieujarzmiona jego dusza nie chciała się uznać zwyciężoną, i prawie natychmiast zawołał z oburzeniem:



— Nie, nie! to podobieństwo nie istnieje rzeczywiście! To ja sam się przestraszam, to ja sam tworzę sobie te widziadła przesładujące mnie ciągle z taką zawziętością... Ten śmieszny testament nie może być przepowiednią przyszłości; zapewne nie zrozumiałem go dobrze., Trzeba przeczytać raz jeszcze.

Pobiegł do biurka i wyjął z szufladki której nie otwierał przez ten rok cały, drewniane pudełko z testamentem Raula. Usiadł przy stole, wsparł głowę na rękach i zaczął czytać. Pierwszy paragraf w którym Raul polecał mu aby doniósł jego ojcu najdrobniejsze nawet szczegóły jego śmierci, przejął go zimnym dreszczem. Jednogłośnie tego żądania z wyrażeniem w liście ojca Raula, niweczyła wszelkie wątpliwości. Czytał dalej wolno, wymawiając półgłosem każde słowo, aby ocenić lepiej jego znaczenie, i tak doszedł do ostatnich słów Raula:

„Pragnę odżyć w tobie, abys nie zapomniał mnie nigdy.”

„Nie! rzekł zimno Jerzy, podnosząc się, zrozumiałem dobrze testament, ale zawadza mi, i czytałem go dziś po raz ostatni.”

Schował testament, zasunął wieczko, i przez otwarte okienko, cisnął z zamachem puszkę w morze, a jednocześnie usłyszał krzyk jakiś.

Jerzy przeszedł przez tak gwałtowne wzruszenia, że nie umiał sobie zdać sprawy z tego krzyku, nie był pewnym czy nie wyszedł z ust jego. Zadzwońił i czekał niespokojnie.

W minutę może później, wszedł jeden ze sterników.

— Kto to krzyknął? zapytał Jerzy.

— Majtek znajdujący się na straży w szalupie. Powiedział mi, że pan komendant wyrzucił to pudełko okienkiem i że uderzyło go w czoło.

Mówiąc to podał Jerzemu pudełko.

— Skoro wiesz że je wyrzuciłem, pocóż je odnosisz, rzekł Jerzy nie wyciągając po nie ręki.

— Bo otworzywszy je, zobaczyłem że jest w niem jakiś papier.

— I zapewne przeczytałeś ten papier? zapytał Jerzy błędnie.

— Pan komendant wie, że nie umiem czytać, odpowiedział sternik.

— Możesz odejść, rzekł Jerzy, lecz przypominając sobie obowiązek ciężący na nim jako na komendancie, dodał:

— Czy majtek znajdujący się w szalupie, ma czoło mocno rozcięte?

— Nie, panie komendancie, nie bardzo.

— W każdym razie powiedz mu aby poszedł zaraz do doktora, i niech go inny zastąpi na warcie.

— Ah! rzekł Jerzy gdy już sam pozostał, skoro ten testament znów wrócił do mnie potrafię znaleźć inny, pewniejszy środek uwolnienia się od niego na zawsze. Spalę go; tym sposobem nie zobaczę już nigdy, bo przecie nie odrodzi się ze swych popiołów.

I tu jednak nasunęła mu się pewna trudność, gdyż chciał zniweczyć nie tylko testament ale i pudełko, a nie było drzewa na kominku, z powodu że już dawno nie trzeba było na nim palić. Po krótkim namyśle znalazł i na to radę: wyjął testament, a za pomocą ostrego noża, z łatwością połupał pudełko na drobne kawałki. Następnie ułożył kawałki na trzonie, podłożył pod nie zapałkę którą umoczył w faszeczkę z fosforem, a gdy po chwili ogarnął je płomień, położył na nim testament. Leżał tak może parę sekund zupełnie prosto, potem rogi papieru zaczęły się zwijać, a czarne litery odbijały nad-

zwyczaj wyraźnie od białego papieru, silnym oświeconego światłem. Zapalił się nakoniec i zwęglął wolno, a przebiegające po nim tysiące czerwonych iskier, uwydatniały przelotnie jakieś słowo lub literę. Jerzy mógł domyślać się lub odczytać wyrazy, zresztą najczęściej powtarzane w testamencie, przyjaźń, podobieństwo, śmierć, albo też imię Raula i swoje. W parę minut z pudełka i testamentu pozostało tylko trochę popiołu.

Jerzy z jakimś uczuciem wstydu oddalił się od kominka, był to w jego przekonaniu postępek śmieszny i dziecinny. Zaczął chodzić wolno po pokoju, i spostrzegł po jakimś czasie, że powtarza machinalnie początek testamentu Raula. W chwili gdy nabrął o tem przeświadczenia, nasunęły mu się na usta następne frazesa, i zanim miał czas zadziwić się nad tem, pamięć powtórzyła mu w myśli z nadzwyczajną dokładnością, cały testament, od pierwszego do ostatniego słowa. Co więcej, przypominał sobie — jakby patrzył na testament — papier, szerokość marginesów, kształt, wielkość i pochyłość liter. Przypisywał to podbudzenie pamięci, świeżo przebytem wzruszeniem, i sądził że minie wkrótce. Omylił się. Wspomnienie testamentu, który spodziewał się zniszczyć bez śladu, co raz silniej zakorzeniało się w jego umyśle, zamieniając się w myśl stałą i niezmienną. Napróżno usiłował przywołać inne myśli, inne obrazy, widział wszędzie testament, skreślony dobrze mu znanym piórem. To przesładowanie trwało dwa dni, aż w końcu Jerzy postanowił spróbować czy nie zdoła wyzwolić się od niego, przepisując własną ręką ostatnią wolę Raula. Lecz zaledwie napisał pierwsze słowa, zatrzymał się zdumiony; pisząc naśladował zupełnie charakter Raula, ręka jego ulegając jakiemś niewidocznemu popędowi, odtwarzała wiernie pismo stojące mu ciągle przed oczyma. Jednak pisał dalej, nagłony tem uczuciem ciekawości budzącem w ludziach chęć poznania do jakich rozmiarów dojdzie ich nieszczęście, i zdawało mu się że w miarę jak pisał, frazesa wychodzące z pod jego pióra, zacieraty się jednocześnie w jego pamięci. Uczuł prawdziwą ulgę, gdy nakoniec położył pióro i schował tę dziwną kopiję do tej samej szufladki z której wyjął oryginał.

Spojrzał przypadkiem na honorową szpadę wręczoną mu rano przez gubernatora. Wziął ją w rękę i przyglądał się długo pięknej złotej rękojeści, ozdobionej brylantami.

— Piękne to nagroda, rzekł smutnie wstrząsając głową, ale poznaję codziennie lepiej jak drogo mnie kosztuje!..

## II.

Jerzy przebył kilka jeszcze dni w Saint-Domingo, a uczestnicząc we wszystkich wydawanych dla niego zabawach, zdołał odurzyć się trochę, i dopiero gdy znów wypłynął na morze, zadał sobie pytanie co ma czynić nadal, czy rozpocząć znów bezskuteczną dotąd walkę? Zdecydował się na to raz jeszcze, ale walka trwała krótko, po upływie miesiąca, chorobliwe objawy jakich doznał w rocznicę śmierci Raula, powtórzyły się z większą jeszcze gwałtownością. Czuł ogólne osłabienie, cierpiał na bezsenność, miał gorączkę, a dreszcze przebiegały wszystkie jego członki. Dokuczał mu nade wszystko silny ból twarzy połączony z trudnem do zniesienia rozpaleniem; łzy ciekły mu z oczu; muskuły drgały od czasu do czasu konwulsyjnie, a zęby zaciskały się niekiedy do tego stopnia, że nie mógł przyjąć żad-

nego pokarmu. Tak więc ciało któremu chciał nadać inne kształty, a przynajmniej zmusić do nieruchomości, tryumfowało nad jego usiłowaniami, zwyciężyło jego wolę. Zrozumiał że dłuższa walka była niepodobną, że zakończyłaby się jego śmiercią, i wyrzekł się jej nadal — tak samo jak ją rozpoczął, z zupełną świadomością tego co czyni. Podał się swemu losowi, nie do tego stopnia aby miał iść drogą wskazaną mu testamentem Raula, lecz że postanowił nie tamować niczem rozwoju tak niesłychanego objawu jak podobieństwo pośmiertne. Odtąd cierpienia ustały, i czuł się swobodniejszym. Członki nie krępowane przymusem odzyskały właściwe sobie ruchy, rysy wypoczęły, że się tak wyrazimy, w swym naturalnym układzie, który dawniej chciał gwałtem zmienić. Teraz nie zasłaniał już lustra i nie powstrzymywał się od mówienia, słowem był znów takim jak był osmnaście miesięcy temu. Jerzy widząc że z taką łatwością wchodzi w posiadanie siebie samego, uczuł gorzką radość spełnionego nieszczęścia. Przynajmniej nie potrzebował już zadawać sobie tak ciężkiego przymusu, i nie myślał już o Raulu z tą posuniętą aż do szału złością, zużywającą jego siły i zamęczającą wyobraźnię. Żył z dnia na dzień, zdając się na łaskę przeznaczenia, krążąc ze swym statkiem po morzu lub odbywając wycieczki, gdy się dowiedział że podpisano pokój w Amiens i odebrał rozkaz powrotu do Francji. To wezwanie napęłniło go takim zadowoleniem, jakiego nie spodziewał się już doznać nigdy w życiu. Nie będzie więc już zmuszony przepływać koło wyspy Świętej Trójcy, której widok przejmował go zawsze dreszczem; nie będzie widział tych eichych i pogodnych noczy przypominający mu poufne rozmowy z Raulem, ani skwarnych dni tego wiecznego lata, wciąż których ogniste słońce zdaje się być skazane na ciągle krążenie po lazurowym niebie. Zobaczy znów, nie rodziców — bo tych już nie miał — ale kolegów których kochał dawniej, i wszystkie szczęśliwe wspomnienia swych lat dziecinnych, nie połączone jeszcze ze strasznym wspomnieniem Raula. Zresztą, wszakże miał wrócić do Francji, której sama nazwa przyspiesza bicie serca żyjących zdala od niej.

Jednak dopiero po ostatniej podróży morskiej przyplłynął do Brestu, gdyż polecono mu odprowadzić do Ferrol meksykańskie galiony. Następnie, po rozbrojeniu *Thétis*, które zajęło mu dwa miesiące czasu, wsiadał już prawie do dyliżansu jadącego do Paryża, gdy służący oddał mu list tylko co przyniesiony. Poznał zaraz na adresie pismo ojca Raula, i złamał drżącą ręką dużą czarną pieczęć. Starzec uwiadamił go że dowiedział się o jego powrocie do Francji, i że pisze do niego powtórnie, prosząc aby mu opisał nieszczęśliwe okoliczności śmierci Raula. Wymawiał mu łagodnie, ale z pewną uroczystością, że teraz już liczy z pewnością na śpieszną jego odpowiedź. Jerzy umyślił napisać do niego zaraz po przybyciu do Paryża, ale już przez całą drogę był ponury i niespokojny. Stanąwszy w Paryżu odkładał to z dnia na dzień, gdyż nie mógł przezwyciężyć wewnętrznej obawy, ani też opisać prawdziwych szczegółów śmierci Raula, a nie śmiał utrzymywać że mu są nieznane. Tym sposobem czas upływał, a on wahał się ciągle, gdy minister marynarki zawezwał go do siebie.

Ministrem marynarki był naówczas książę Decrès. Przyjmował już raz u siebie Jerzego, wyraził się bardzo pochlebnie o zwycięztwach odniesionych przez niego, i przyrzekł z wyrazem widocznej życzliwości, że da mu w krótkce dowód swej o nim pamięci.



— Mój drogi komendancie, rzekł teraz do wchodzącego, czy jesteś gotów wypłynąć znów na morze?

— Zawsze, i w każdej chwili, odpowiedział Jerzy.

— Wyborniel ułatwię ci sposobność zdobycia szlif kapitana okrętu. Hiszpania przyrzekła cesarzowi zebrać w Kadyksie flotę, którą on zamierza następnie połączyć z flotą zostającą pod rozkazami admirała Villeneuve — lecz Hiszpanie pozostawieni samym sobie, nie są obecnie zdolni do niczego. Potrzeba mi zdolnego i gorliwego oficera, któryby czuwał nad organizacją floty, i dlatego wybrałem ciebie. Skoro flota będzie gotową do wypłynięcia, zajmiesz miejsce starszego porucznika na jednym z okrętów Villeneuve'a, a po pierwszej bitwie otrzymasz stopień kapitana.

Jerzy podziękował ministrowi, a w dwadzieścia cztery godzin później był już w drodze.

Walką przewidywaną w przyszłości przez admirała Decrés, miała być bitwa pod Trafalgar. W nieszczęsnym dniu 21 października 1805, Jerzy jakkolwiek był jeszcze tylko kapitanem fregaty, dowodził jednym z okrętów eskadry Villeneuve'a, *Entreprenant*, na którym już od roku pełnił obowiązki starszego porucznika. Komendant tego okrętu zachorował na jakiś czas przed tem, i był zmuszony wrócić do Francji. Przez dwa ubiegłe lata Jerzy nie miał prawie chwili wypoczynku, zajmował się gorliwie uzbrojeniem floty hiszpańskiej i swego okrętu. *Entreprenant* stał w eskadrze Villeneuve'a, na równi z *Intrépide* i *Rédoutable*, dowodzonemi przez Lucas'a i Infernet'a. Jerzy wywierał na swych podkomendnych takiż sam urok, jaki dawniej wywierał na marynarzy fregaty *Thétis*. Co do swej powierzchowności, nie zmienił się prawie wcale, a gdy któryś z oficerów znających go w Antylach wspomniał mu coś o jego podobieństwie z Raulem, odpowiadał mu już tylko smutnym uśmiechem. Twarz jego była zawsze zimna i posępna, gdyż zostawał ciągle pod wpływem dręczących wspomnień, które nie napastowały go już wprawdzie tak natarczywie jak dawniej, lecz nie opuszczały prawie nigdy. Znajdował się pod tym względem w położeniu człowieka w którego głowie utkwiła kula, mogąca zabić go jeżeli przesunie się w inne miejsce, ale kula się nie porusza i człowiek żyje. Jerzy śledził wolne postępy swego podobieństwa z Raulem, nie starając się już wyzwolić od niego, i zdawało mu się że lada chwila opanuje go znów ta straszna dręcząca go dawniej trwoga. Podtrzymywała go jednak szalona jego ambicja, i z niezłomną siłą woli, usiłował iść dalej tą drogą wiodącą do zaszczytów, na którą utorował sobie wstęp popełniając zbrodnię.

Przed rozpoczęciem bitwy, Jerzy stał na swym pokładzie poważny i smutny, patrząc na dwie armie stojące naprzeciwko siebie. Flota francuzko-hiszpańska stała wzdłuż wybrzeża Andaluzji, jej linia była zbyt wyciągnięta, i wiele okrętów stało pod wiatr. Jerzy jako wytrawny marynarz, dostrzegał na tej całej linii niepewność i brak ufności w sobie. Flota angielska, rozdzielona w dwie kolumny, z których jedną dowodził Nelson na *Victory*, a drugą Colingwood na *Royal-Sovereignu*, posuwała się płyną z wiatrem, prosto do linii nieprzyjacielskiej, tak, aby ją przeciąć mniej więcej w środku. Zdawała się pewną zwycięstwa. Gdy Colingwood kazał rozwinąć żagle na swym okręcie, Jerzy zwrócił się do swych oficerów, i powtarzając przypadkiem słowa wymówione prawie jednocześnie przez Nelson'a, na pokładzie *Victory*, rzekł z wyrazem najgłębszej goryczy:

„Patrzcie jak ten Colingwood prowadzi śmiało swe okręty w ogień!”

Wkrótce potem *Bucentaur*, okręt Villeneuve'a, dał jeden strzał armatni, i rozpoczęto bitwę.

Po trzech godzinach krwawej i zaciętej bitwy, gdy francuzka i hiszpańska flota została prawie zniszczona, gdy Nelson zginął, a burza zapowiadająca się już od rana wybuchła z całą gwałtownością, Jerzy toczył jeszcze walkę z dwoma angielskimi okrętami. Zaraz z początku bitwy został silnie kontuzjowany w głowę, nie chciał jednak ustąpić z pokładu. Nie tracił czasu na strzelanie do masztów lub przecinanie lin, lecz kazał mierzyć prosto w pudło nieprzyjacielskich statków, co przy zręczności jego kanonierów zapewniało mu przewagę. W końcu jeden z tych statków zaniechał bitwy, cofnął się i połączył z flotą angielską. Jerzy stojący naprzeciwko drugiego, posunął się ku niemu prędko, zrównał się z nim całym bokiem swego okrętu, ze zwykłą sobie piorunującą szybkością wdarł się na jego pokład i zdobył wkrótce. Następnie pociągnął za sobą na pełne morze zdobyty okręt, i zdołał go ocalić i zatrzymać, pomimo że przez dwa dni i dwie noce walczył z gwałtowną burzą. Po dwóch dniach burza ucichła, a wkrótce potem Jerzy wpływał do przystani Brestu, ciągnąc za sobą angielski okręt, w obec tłumów ludności, uwiadomionej już o strasznej klęsce pod Trafalgarem, która witała okrzykami radości i boleści, jedyne w tym nieszczęsnym dniu, szczęśliwego kapitana.

Prefekt morski posłał go zaraz do Paryża. Jerzy wyjechał tam jakkolwiek cierpiący jeszcze, i udał się zaraz do ministra Decrés, który mianował go kapitanem okrętu i przedstawił cesarzowi. Była to najświetniejsza epoka jego sławy, gdy wchodził do jakiego salonu, wszystkie oczy zwracały się ku niemu, kobiety przechylały się aby widzieć go lepiej. Jego piękna, prawdziwie męzka twarz, nacechowana smutkiem a zarazem jakąś srogością, przyciągała spojrzenia. W trzydziestym roku życia był takim, jakim byłby Raul, tylko bez tej aureoli pogodnego szczęścia która otaczałaby czoło jego przyjaciela. Niestety! pozyskał sławę, ale utracił na zawsze spokój serca i sumienia. Dręczył go ponury smutek wśród tych ciągłych tryumfów; od pięciu lat, nie zastąpiło mu przyjaźni Raula żadne insze przywiązanie, szedł sam przez życie, i przerażała go ta samotność. Były chwile w których tęsknił za tem szczęściem rodzinem, które kiedyś Raul przedstawiał mu w tak ponętnych barwach. Znajdował się właśnie w takim usposobieniu umysłu, gdy minister zaproponował mu, w imieniu cesarza, małżeństwo z młodą panią, której rodzina emigrowała w czasie Rewolucji i niedawno powróciła do Francji. Napoleon lubił podobne małżeństwa, łączące dawną arystokrację, z tą którą zamierzał utworzyć. Wyposażał pannę d'Epagny, a Jerzemu nadawał tytuł hrabiego. Jerzy przyjął propozycję z wdzięcznością; widział już kilka razy pannę d'Epagny i podobala mu się bardzo, piękna, świetna i dowcipna, odpowiadała wymaganiom jego dumy, co zaś do szczęścia rodzinnego o którym marzył niekiedy, sądził że go niem obdarzy przez to samo że będzie jego żoną. Marynarzom i żołnierzom spędzającym życie na morzu lub w obozie, łatwo uwierzyć w szczęście w małżeństwie, czysta i uświęcona miłość ma dla nich jakiś niewysłowiony urok, jakiego nie spotykali nigdy w łatwych i przelotnych stosunkach swego koczującego życia. Ślub nastąpił wkrótce potem, cesarz potrzebował zawsze swych żołnierzy, i dozwalał im tylko żenić się i kochać, w przestankach, między bitwami.

W dniu podpisania kontraktu, admirał Decrés odprowadził Jerzego na stronę:

— Cesarz chce, kapitanie, abys za piętnaście dni wypłynął znów na morze.

Jerzy drgnął mimowolnie.

— O! rzekł minister z uśmiechem, będziesz mógł zabrać żonę, jeżeli posiada dość odwagi aby ci towarzyszyć. Ale wróćmy do rzeczy. Przez kilka lat marynarka nie będzie miała nic do czynienia w Europie. Potrzeba nam czasu na zbudowanie i uzbrojenie floty złożonej ze stu okrętów; ale Indie są dla nas otwarte, człowiek zdolny może tam dokonać tego co dokonali: bajli Suffren, La Bourdonnais i Dupleix. Widzimy co zrobił Surcouf, a Surcouf jest tylko korsarzem.

— Jakimi środkami będę rozporządzał? rzekł Jerzy.

— Będziesz miał port Tranquebar, który nam ustępuje Tipoo-Saeb, ty zaś kapitanie, masz urządzić w nim wygodne schronienie dla statków tam przybywających, i główny punkt wyjścia dla przedsięwziętych przez siebie wypraw. Choćbyś chciał dokonać cudów, nie zbraknie ci na to pieniędzy, będziesz ich miał tyle ile tylko zażadasz.

— Na jakim statku mam odpłynąć?

— Na uzbrojonej fregacie oczekującej już na ciebie w Rochefort. Czy przyjmujesz?

— Tak, admirał, odpowiedział Jerzy, który widział już przed sobą świetną przyszłość, pełną śmiałych i szczęśliwych wypraw, bogactw i chwały.

Przeszedł na drugą stronę salonu i stanął przed narzeczoną.

— Pani, rzekł z uśmiechem, czy pani zechciałaby mi towarzyszyć, gdyby za parę tygodni obowiązki służby zmusiły mnie wyjechać na dwa lub trzy lata do Ameryki albo do Indji.

— Żona komendanta Jerzego, pójdzie za mężem wszędzie gdzie on się uda, odpowiedziała panna d'Epagny.

Te słowa wypowiedziane głośno i z pewnem wyrazem dumy, wywołały w salonie szmer pochwalny. Co do Jerzego, podziękował narzeczonej niskim ukłonem.

Ślub Jerzego odbył się w kilka dni później. Siedział przy kominku w swym gabinecie, gdzie udał się szukając tej szczęśliwej samotności, w której dusza przepełniona zbyt żywymi wzruszeniami znajduje wytchnienie, i możność skupienia się w sobie. Jak dobroczynny deszcz rozwija pąki kwiatów związane słońcem, tak miłość utorowała wstęp błogim nadziejom i słodkim marzeniom, do tego biednego tak długo zamkniętego serca. Jerzy czuł znów tę głęboką radość jakiej doznajemy kochając i będąc kochanym, której tak długo był pozbawionym, rozrzewnił się pod jej wpływem, i oczy jego zwilżyły się łzami. W chwili gdy wstał uśmiechając się, chcąc wrócić do żony, służący wszedł do gabinetu i oddał mu list. Jerzy wziął go obojętnie, ale skoro tylko spojrzął na adres i pieczętkę, doznał takiego uczucia jakby go ktoś nożem uderzył w serce. Był to list od ojca Raula.

— Ach! już po mojem szczęściu! zawołał.

(D. c. n.)